Nr. 64. Lwów — Wtorek dnia 17 Marca. Rok 1896.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . 4 ct.
na Prowincyi . . . . . . 6 „

Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy nisłać równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . [illegible]
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . [illegible]
grubym tłustym garmondem po . . . [illegible]
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . [illegible]
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce [illegible]
Reklamy . . . [illegible]
Nekrologia . . . [illegible]
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Gertrudy. Jutro: św. Edwarda. Kanona M. 42 M. w S.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca g. 6 m. 18. Zachód „ „ 6 „ —
Długość dnia g. 11 m. 42. Przybyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 16 marca.

Studyum o rosyjsko-polskich stosunkach drukuje *Nowoje Wremia*. Jest to właściwie krytyczny rozbiór dziełka hr. Leliwy p. t. „Rosyjsko-polskie stosunki“, w którem-to dziełku autor przemawia wyłącznie do Rosyan, do ich sumienia, zalecając zmianę rządowego systemu w ziemiach polskich, przez co „nastanie plemienny sojusz dwóch bratnich narodów i rozpocznie się nowa era życia nietylko dla Polaków, ale i dla rosyjskiego państwa“. Lecz — powiada autor — „powodzenie tak wielkiego dzieła zależy n a t u r a l n i e od przyznania praw i potrzeb narodowi polskiemu“. Otóż *Nowoje Wremia* bierze za punkt wyjścia dla swych rozumowań użyty przez hr. Leliwę wyraz „naturalnie“, jako wskazujący na to, że wszystko powinni zrobić Rosyanie, nic Polacy. Na to rosyjski krytyk „żadną miarą“ zgodzić się nie może, bo przecie Rosya już robiła „wszystko“ Polakom i doznała zawodu. I tak: „Własnemi rękami odbudowała Królestwo Polskie, nadała mu liberalną konstytucyę i najobszerniejszą autonomię. W rezultacie był rok 1831. Po tym roku wprawdzie konstytucya była zniesiona, lecz pozostała administracyjna autonomia, której po rycersku przestrzegał Mikołaj I, a po nim Aleksander II — i znowu doprowadziło to do roku 1863go. Czyż podobna zapomnieć, że tak wspaniałomyślne i życzliwe dla Polaków próby dały tak smutne rezultaty!“

Na ten wykrzyknik rosyjskiego autora można odpowiedzieć z całą słusznością i zgodnie z historyczną prawdą, że przedewszystkiem nie może być mowy o żadnej wspaniałomyślności rosyjskiej względem nas i o żadnem odbudowywaniu Królestwa Polskiego „własnemi rękami“. Aleksander I zrobił to, co musiał zrobić na mocy wiedeńskiego traktatu. Więc nie Rosya wspaniałomyślnie i własnemi rękami, lecz Europa we własnym dobrze zrozumianym interesie chciała utrzymać bodaj cień Polski. O ile to było potrzebne dla Europy, o tyle zawadzało Rosyi i dlatego razem ze wstąpieniem na tron Mikołaja Igo zaczęły się coraz dokuczliwsze szpilkowe ukłócia, któremi zamierzono wyprowadzić nas z cierpliwości i zachęcić do walki, która — o czem z góry wiedziano — nie mogła się skończyć dla nas pomyślnie i musiała przynieść pożądane przez Mikołaja Igo zniesienie konstytucyi. Liczono w Petersburgu na naszą krewkość, nieoględność, łatwe wpadanie w pasyą, jak na to samo liczono względem Finlandczyków za panowania Aleksandra IIIgo. Ale Finlandczycy umieli zaciskać zęby, milczeć, raz schylać się, innym razem, mając piołunową gorycz w sercu, witać z uniesieniem cara, przybywającego do nich z zamiarami rusyfikacyjnymi — i tak uniknęli nieszczęścia. Myśmy tego nie umieli i z tego powodu można powiedzieć, że co jest zaletą w prywatnem życiu, to nieraz wadą w politycznem, ale nie można powiedzieć, że cała wina po naszej stronie, a żadnej po rosyjskiej. Niesłusznie tedy utrzymuje *Nowoje Wremia*, że sprawiliśmy zawód rycerskiemu Mikołajowi I: jaki dźwięk chciał on wydobyć drażniąc nas, taki właśnie wydobył. Ciężko zawiniliśmy w obec siebie, ale nie w obec Rosyi. W następnem trzydziestoleciu taką samą polityką zmierzał rząd petersburski do ostatecznej rusyfikacyi i tak przyszedł rok 1863ci. Wina nasza w obec siebie była jeszcze większą, ale znowu rosyjskiemu rządowi nie sprawiliśmy żadnego zawodu.

Dalej rosyjski autor powiada, że społeczne charaktery polski i rosyjski są tak inne, że nie może być przyjaźni między tymi narodami, nie może być plemiennego sojuszu, a zatem — po co jakiekolwiek porozumienie? Posłuchajmy, jak tu o nas mówi autor studyum w *Nowem Wremieniu*: „Nie mamy nienawiści do Polaków, ale nie mamy i przyjaźni — to pewna. W naszym wzajemnym stosunku więcej rysów ujemnych, aniżeli dodatnich. Ale to można powiedzieć tylko o całem społeczeństwie polskiem. Z każdym Polakiem z osobna, który żyje między nami, godzimy się wybornie, zawiązujemy z nim przyjaźń szczerą i otwartą. Pomimo niesnasek z nimi, jako z narodem, utrzymujemy z jednostkami o wiele serdeczniejsze stosunki, aniżeli z osobami innej niesłowiańskiej narodowości. Oderwawszy się od swej sfery i pozbywszy się jej właściwości, Polak zachowuje sympatyczne rysy charakteru słowiańskiego, a ma żywy temperament. Bez zadawania gwałtu swym uczuciom, zawiązujemy z tymi Polakami przyjaźnie, nie zazdrościmy im uzdolnienia, nie popisujemy się naszą wspaniałomyślnością — i najmniejszej wątpliwości nie mamy, że z takim narodem moglibyśmy żyć w bratniej zgodzie. Nawet dziwno, że tak nie jest. Lecz odrazu wszystko się zmienia, gdy wnikniemy w społeczeństwo polskie i w Polaka w jego własnem narodowem otoczeniu. Wtedy występują wszystkie rysy ujemne, znikają dodatnie. Zamiast słowiańskiej dobroduszności — chełpliwość, będąca główną cechą charakteru polskiego. Objawia się ona, ilekroć społeczeństwo polskie czuje za sobą jakąś siłę, albo się łudzi jej posiadaniem; kiedy nie czuje tej siły, wówczas jest dwulicowem. Łudzenie siebie i innych stało się wrodzonym pierwiastkiem polskiej natury; lecz tylko siebie okłamać łatwo, innych już teraz trudno. W ogóle piętnem społeczeństwa polskiego jest drobiazgowość, powierzchowność i teatralność, jak gdyby ono zawsze było na deskach teatralnych i grało jakąś sztukę, a nie żyło rzeczywistością. Więc takiego społeczeństwa my nie lubimy. To nie jest nieprzyjaźń, lecz, mówiąc prawdę, wzgardliwa obojętność. Nas weźmiesz tylko otwartością, choćby była szorstka; nas poruszy prostota, szczerość, a wszelka chytrość, wszelki fałsz budzi w nas odrazę zarówno do jednostek, jak do narodów. A niech nikt nie mówi, że Polacy stali się takimi wskutek położenia, w jakiem się znajdują — poznaliśmy ich chełpliwość jeszcze wtedy, gdy Polska przeżywała najświetniejszy okres swego istnienia. Dusza na dłoni — to nasza słabostka, na którą nas łapano nieraz, ale my się jej nie pozbędziemy. Zresztą, czy to potrzeba wielkiemu narodowi nie iść za popędem swej szczerej, otwartej natury! — A teraz jeszcze druga okoliczność, czyniąca nas obojętnymi dla społeczeństwa polskiego. Nasz ideał społeczny jest taki, że największy arystokrata przejęty jest obowiązkiem, jako zasadą względem masy narodowej, i w całem swem życiu, w każdej działalności w jakimkolwiek zakresie, każdy Rosyanin — świadomie, a nawet nieświadomie — idzie pod tym względem za głosem sprawiedliwości. W imię zasady arystokratycznej pogwałcić prawo, sprawiedliwość, jest wstrętne naszej naturze. Natomiast społeczeństwo polskie całe przesiąkło arystokratycznością — i nic w niem nie czyni się dla człowieka z ludu, dla tryumfu prawdy i sprawiedliwości. Więc my i Polacy — to tak odrębne sfery, pełne głębokich różnic i wstrętów, dążności, gustów i poglądów, że wszystko nas wzajemnie odpycha, nic nie przyczynia się do porozumienia“.

A zatem, Polacy — to naród szkaradny, Rosyanie — piękny. My nie pójdziemy za przykładem autora studyum w *Nowem Wremieniu* i nie będziemy dowodzili, że jest odwrotnie. Siebie wychwalać nieładnie, obcych ganić w czambuł — brzydko. Owszem, chętnie przyznamy, że chociaż głównie poznaliśmy Rosyan w osobach takich, jak Nowosilcew, Murawjew Wieszatiel, Paskiewicz, Gurko, Klingenberg, Gromeko i t. d., to jednak w całym rosyjskim narodzie widzimy dużo zalet. Widzimy także swoje wady, może trafniej od autora studyum w *Nowem Wremieniu*. Jednak, to „piękno“ rosyjskiego charakteru, a „brzydota“ naszego — co to ma do rzeczy, o którą w tym wypadku chodzi?

Wszak w monarchii austryacko-węgierskiej jest bez mała 20 narodów, mających przeróżne usposobienia, a przecież żyją one ze sobą w zgodzie ku pożytkowi całości i całość ta jest silną i potężną. Tymczasem przed trzydziestu laty, gdy wszystkie te ludy były stłumione, a kosztem ich soków żywotnych tuczył się tylko jeden naród — niemiecki, wówczas całość była tak słaba, że same jeno porażki, dyplomatyczne i wojenne, zapisywała w swoich rocznikach. Dobre lub złe cechy jakiegoś narodu nie mogą być w polityce argumentem do niewchodzenia z tym narodem w układy, bo mądrość stanu polega właśnie na tem, że umie wszystkie zalety i przywary sąsiadów wyzyskać na korzyść swojej ojczyzny. Jeżeli my mamy tyle wad, a Rosyanie tyle przymiotów, jak powiada *Nowoje Wremia*, to z polsko-rosyjskiej zgody wynieśliby tylko Rosyanie korzyść; natomiast z ucisku Polaków przez Rosyan odnoszą tylko Polacy korzyść, bo ich charakter się hartuje, wola się wykształca, miłość ojczyzny rośnie, — a Rosyanie tylko stratę, bo w nadużyciach popełnianych w Polsce tracą poczucie sprawiedliwości, w orgiach rozpusty niszczą swą wolę, zabijają ducha, gubią duszę. Tyle kroci Rosyan tuczyło się krwią polską — a czy choć jeden stworzył coś czy to na polu literatury rosyjskiej, czy sztuki, czy nauki, coby unieśmiertelniło jego imię? To też my mężnie ucisk rosyjski znosimy i nie zabija on w nas wcale wiary, — owszem hartuje nas, tępi dawne wady, a rozwija wolę i rozwagę, której nam dawniej tak bardzo brak było.

Wczoraj nadszedł telegram włoskiej agencyi Stefaniego, że się rozpoczęły z Menelikiem rokowania o pokój i że z tego powodu wstrzymano wysyłkę z Neapolu kilku batalionów, które już miały odpłynąć do Erytrei. Podano nawet warunki Menelika, te zaś są: uchylenie traktatu, zawartego w Ucciali, a oddającego Abisynię pod włoski protektorat; oddanie Abisynii skrawka brzegu morskiego z portem Zula, leżącym o jakie 50 kilometrów na południe od Masawy; i odstąpienie Menelikowi miasta Kassali, zdobytego w roku przeszłym przez Baratierego od derwiszów sudańskich. Przypuszczają we Włoszech, że ten ostatni warunek postawił Menelik dlatego, „by mógł od siebie zrobić z owego miasta prezent derwiszom, z czego znów wynika, iż jest z nimi w sojuszu. Czy cała ta wiadomość o nawiązanych układach pokojowych jest prawdziwa, dowiemy się niebawem, bo jutro nowy gabinet włoski przedstawi się parlamentowi i oczywiście powie mu, jak rzeczy stoją. Niewątpliwe jest tylko to, że major Salsa, wysłany przez jen. Baldisserę zaraz po bitwie pod Adową do Menelika z prośbą o pozwolenie pogrzebania poległych, miał także polecenie wybadać negusa, czy nie byłby skłonny zawrzeć pokoju. Niewątpliwe i to, że położenie Włochów w Erytrei jest bardzo niskorzystne, bo nawet w Asmarze, zamykającej marsz na Masawę, nie mogą zatrzymać nieprzyjaciela. Okazało się, że teraz dopiero trzeba Asmarę fortyfikować i temu się wyłącznie oddał Baldissera. Widać z tego, że przez lat dziesięć całe położenie Włochów w Erytrei było zawieszone w powietrzu — i że oni nic nie robili dla utrwalenia swych granic, jak również nie dali żadnej podstawy śmiałemu ruchowi Baratierego w głąb rozległej Tigry. On ją w roku przeszłym zdobył, ale to było dymem i jak dym się rozwiało. Bo z dwóch sztuk — mniejsza zwyciężać, a większa — utrwalać za sobą owoce zwycięstwa. Tej drugiej całkiem zaniechali Włosi, zapewne przez oszczędność, — i oto teraz dyktuje im Menelik powrót do małej kolonii, zamkniętej prostemi liniami, przeprowadzonemi między miastami Masawa, Asmara, Keren. Taki mały trójkąt, ostrzem przytykający do morza pod Masawą, to dobre jako punkt wyjścia, lecz złe, jako rezultat długich zabiegów. Warunki Menelika są ogromnie trudne.

Ciekawy zwrot.

Piszą nam z Wiednia 15 marca:

Partya na wielkiej szachownicy polityki międzynarodowej staje się coraz ciekawszą. Menelik jest pionem, którym rosyjsko-francuska spółka zadała szach królowi włoskiemu, aby go zmusić do porzucenia ligi potrójnej i przejścia na stronę Rosyi i Francyi. W nagrodę zapewne otrzymałby nietylko całą Tigrę, ale także część Amhary, a sławny negus negesti równie nagle zniknąłby z widowni, jak się na niej zjawił na zawołanie reżyserów francusko-rosyjskich. Tam, w Abisynii, Rosya manewruje przeciwko lidze potrójnej. I jak ta liga wobec zwycięstwa rosyjskiego w Bułgaryi nie zdobyła się na nic innego, jak *faire bonne mine au mauvais jeu* (robić dobrą minę przy złej grze), tak też wobec dywersyi rosyjsko-francuskiej w Abisynii nie umiała Włochom dać innej rady, jak tę, aby się wycofały z trudnej sprawy, a zatem zatwierdziły nowe „moralne“ zwycięstwo Rosyi. W tej krytycznej chwili nagle olbrzym angielski zasiada do gry. Wystarczył wysłany z Londynu do Kairu rozkaz wyruszenia ku południowi, przeciwko derwiszom, aby sprowadzić stanowczy zwrot w grze dyplomatycznej. Stawająca zawsze po stronie Afrykańczyków przeciwko Europejczykom *N. Fr. Presse* już dziś przypomina powszechnie znane klęski Anglików i Egipcyan w wojnie z mahdim, aby gruntownie wykładać trudności, na jakie napotka nowa wyprawa angielsko-egipska przeciwko derwiszom. Ale wymieniony dziennik zapomina o dwóch ważnych rzeczach: najprzód, że obecnie na czele gabinetu angielskiego nie stoi gaduła Gladstone, który z lekkiem sercem poświęcił w styczniu r. 1885 Gordona w Chartumie i cały Sudan od Dongoli do źródeł Nilu; powtóre, że chwilowe zwycięstwa mahdizmu zależały wyłącznie od osobistości pierwszego mahdiego Mohameda Ahmeda, przypominającego z różnych względów Mahometa, gdy pod panowaniem teraźniejszego mahdiego okrutnika-sybaryty Abdulli ruch ten wegetuje już tylko dzięki nieczynności Egipcyan. Świeże publikacye więzionych przez 10 lat przez mahdiego, a nareszcie uwolnionych niemal cudownym sposobem ks. Oberwaldera i baszy Slatina („Feuer und Schwert im Sudan“) w tej mierze najdokładniej wyjaśniły sytuacyę. Nie zdaje się, aby dziś wyprawa egipsko-angielska przeciwko derwiszom napotkała na równe trudności, jak w latach 1882—1885.

Naturalnie z daleka nie łatwo przewidzieć militarnych ewolucyi i rezultatów wyprawy afrykańskiej. Przekonaliśmy się o tem świeżo w Abisynii. Ale na teraz wystarcza podnieść ogromną polityczną doniosłość dywersyi angielskiej. Ośmielona różnemi „moralnemi“ zwycięstwami, Rosya, która od 200 lat przywłaszcza sobie prowincye tureckie, poruszyła ponownie kwestyę wyparcia Anglików z Egiptu, popierana jak zawsze gorliwie przez Francyę. Zamiast zabrać się do opuszczenia Egiptu, Anglia skłania chedywa do wyprawy celem odzyskania utraconego w r. 1885 Sudanu aż do źródeł Nilu, czego oczywiście nie może on dokonać bez czynnej pomocy angielskiej. W ten sposób równocześnie Anglia utwierdza swą pozycyę w Egipcie i wspierając pośrednio Włochów, zabezpieczając ich od groźnego napadu derwiszów, potężnie paraliżuje sukces, odniesiony przez Rosyę za pomocą Menelika, wstrzymuje Włochy od przechylenia się na stronę rosyjską i ścieśnia tak pożądane w interesie europejskim przyjazne związki włosko-angielskie.

W r. zeszłym w *Contemporary Review* zjawiła się głośna rozprawa, dowodząca, że margrabia Rudini w r. 1891 odnowił ligę potrójną z tajną myślą niedotrzymania zobowiązań w chwili wojny ligi z Rosyą; na ten przypadek nibyto zamierzał sztucznie tak długo opóźnić mobilizacyę wojsk włoskich, aby nie mogły wziąć udziału w wojnie przeciwko Rosyi. Margrabia stanowczo zaprzeczył tym ubliżającym insynuacyom, a zresztą w takim razie honor króla włoskiego stanowi najpewniejszą gwarancyę. Nie zachodzi też obawa, aby nowy minister spraw zagranicznych ks. Sermonetto, choć po matce jest wnukiem Targowiczanina Rzewuskiego, żywił szczególne sympatye dla Rosyi. Bądź co bądź, teraźniejsza dywersya angielska w Sudanie, chociaż może nie przeszkodzi zawarciu pokoju z Menelikiem, jednak we Włoszech bardzo skutecznie osłabi prądy rosyjsko-francuskie. Pokazało się znowu, że ta odosobniona nibyto kramarska i egoistyczna Anglia w wielkiej polityce światowej sama więcej znaczy, niż całe grupy innych państw.

Korespondencye.

Warszawa, 11 marca.

(*Azet.*). Nawiązując do monopolu spirytusowego, o czem w jednej z poprzednich swoich korespondencyj bliższe podałem szczegóły, donoszę obecnie, że monopol ten rząd w dalszym ciągu od 1 lipca b. r. postanowił wprowadzić w guberniach: kijowskiej, wołyńskiej, podolskiej i paru innych, do nich przylegających; od 1 lipca 1897 r. ma być wprowadzony monopol na Litwie, Żmudzi i Białorusi, mianowicie do gubernii: wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej, mińskiej, mohilewskiej i witebskiej. Do Królestwa Polskiego postanowiono monopol wprowadzić 1 stycznia 1898 r., ale u nas, jak okólnik ministra finansów głosi, ze względu na inną kulturę gospodarstw rolnych, oraz na odmienne stosunki przemysłowe, monopol spirytusowy będzie posiadał odmienną ustawę od tej, jaka obowiązuje w guberniach cesarstwa. W tym celu ministerstwo finansów porozumiewać się będzie z warszawskim jenerał gubernatorem. Należy nadmienić, że w ogóle ustawa o monopolu spirytusowym, który się pomału zaprowadza obecnie w całem państwie rosyjskiem, nie jest jednolita — tak n. p. pod wieloma względami inne są przepisy na Wołyniu i Podolu, inne na Litwie, Żmudzi i Białorusi, a inne w rdzennych guberniach rosyjskich — pomimo bowiem wysilającej się rusyfikacyi, pomimo zamalowania zwierzchu prawdziwej fizyognomii etnicznej kraju, pomimo wszelkich wysileń moskiewskich diejatieli, zabrane prowincye w gruncie rzeczy pozostały i pozostaną innemi, nietylko pod względem politycznym, obyczajowym, religijnym, choć Unitów gwałtem sprawosławiono, lecz także i pod względem ekonomicznym. Inne czynniki działały tu od wieków, inne wytworzyły się źródła bogactw, inne siły przemysłowe, inne zasady etyczne w kupiectwie, w rękodzielnictwie, w wielkim fabrycznym przemyśle i cała kultura ziemi inna, oparta na dziedzictwie, na wielkich tradycyach i na swojszczyźnie, t. j., że mimo prześladowań ze strony rządu, mimo ekstyrpacyi żywiołów niemoskiewskich, mimo wszelkich ograniczeń w nabywaniu i w zbywaniu ziemi — każdy czuje się na niej swój i pracując w niej i na niej, myśli o tem, co pozostawi dla tych, którzy po nim przyjdą. Z temi właściwościami, chcąc, czy nie chcąc, liczyć się musi rząd rosyjski, nawet w tak czysto fiskalnych sprawach, jaką jest sprawa za-

---

7)

MARZYCIEL

POWIEŚĆ

ZOFII KOWERSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

Zmarszczył brwi i wyszedł. Tolski tymczasem pospieszył do sieni nieogrzewanej, gdzie stał w rogu stół obdrapany i kulawy. Ubierał się prędko, tak dobrze dla zimna przenikliwego, jak dla pozbycia się coprędzej widoku popędliwego gospodarza. Żegnając się z panią, zdawało mu się, że ją zna od dawna. Czuł, że wiotką jej wysoką postać, jej głębokie oczy i piękne choć zwiędłe i zmęczone rysy, pamięć jego wzięła sobie na własność. Była nieszczęśliwą i wśród tego brudnego, opuszczonego domu wyglądała, jak kwiat rzucony na śmietnisko. Zdawało mu się, że należała jej się od niego jakaś pomoc, opieka i podział w niedoli.

Zajechał wprost przed aptekę, żeby oddać receptę i zalecić pospiech w zrobieniu lekarstwa.

— A, pan doktor! — zawołał wybiegając aptekarz. No, chwała Bogu, praktyczka jakoś idzie. Już dziś pana doktora z łóżka wyciągnęli. No, jakże tam panna Walentyna?

— Zrób pan jak najprędzej lekarstwo.

— A, miksturka? Będzie zaraz — mówił aptekarz biorąc receptę z rąk doktora. — Będziemy czekać pana na obiad. Jadamy o pierwszej, po gospodarsku. Żona moja posiada sekret na przyprawianie pieczeni baraniej. Pan doktor pewno czosnku nie jada.

— Owszem, jem wszystko. Proszę, nie marudź pan z lekarstwem. Fornala przyszlę zaraz przed aptekę, tylko mię do domu odwiezie.

— Wszystko będzie gotowe za pół godzinki.

Aptekarz spiesznie wbiegł w otwarte drzwi apteki, Tolskiego konie powlokły powoli ku jego mieszkaniu. Przejeżdżając przez rynek, spostrzegł przed jednym z domów o wąskiem podsieniu, stojącą furę chłopską w gnojownicach, na której leżący człowiek był widocznie bardzo chory. Obok fury, stała kobieta w szafirowej sukmanie, w chustce na głowie, z długim kawałkiem szarego płótna zarzuconym na ramiona.

— Podjedź-no pod tę furę — rzekł Stefan do woźnicy.

— Chorego przywieźliście? — zapytał kobiety, gdy go już dosłyszeć mogła.

— A jużci. Przyjechaliśmy do dochtora.

— Cóż-to mu jest?

— Ha, wszyćko go boli, a najbardziej pod piersiami. Musi to jakaś boleść kole serca. Owczarka peidają, że to żoła.

— Jedźcie za mną, ja jestem doktór.

— Proszę jaśnie dochtora — rzekła kłaniając się kobieta — kiedy jeszcze trza baniek i pijawek.

— Jedźcie za mną. Jeżeli mu potrzeba baniek albo pijawek, to mu się postawią.

— My tak se myśleli, że Śloma najlepiej kole niego zrobi.

— Nie, moja kobieto, to nie jest rzecz Szlomy, ale moja. Szloma nie jest doktorem, tylko cyrulikiem.

— A toć to wszystko jedno. On tak samo się zna.

W Tolskim poczęła się rodzić niecierpliwość, ale przypomniał sobie w porę, że przez kobietę przemawiała litości godna nieświadomość.

— Nie, doktor lepiej się zna od cyrulika — odparł łagodnie — doktor się na to uczy.

— Kiej człowieka na dwóch nie stać — rzekła wreszcie odważnie kobieta — bo to by trza i dochtorowi i aptykorzowi i cyrulikowi za bańki...

— Jesteście biedni?

— A jużci biedni. Jeszcze się nam i krowina zmizerowała!

— To ja będę chorego leczyć darmo.

Usłyszawszy to zapewnienie, chory poruszył się na wozie, jęknął i rzekł przerywanym głosem:

— O, niech też panu Bóg wynagrodzi! A gdzież to pan mieszka?

Podczas tej rozmowy, naokoło bryczki Tolskiego zgromadziło się kilku żydów starszych i młodszych, trącających się za każdem jego słowem, rzucających sobie spojrzenia i robiących uwagi półgłosem w niezrozumiałej swej gwarze. Publiczność tę, śledzącą go, młody doktor spostrzegł dopiero gdy wydał furmanowi rozkaz jechania dalej. Jeden z obecnych zbliżył się szybko do włościan zabierających się do podążenia za Tolskim i rzekł szarpiąc kobietę za rękaw:

— Co wy go tam słuchacie? Co mi taki doktor znaczy co ani baniek, ani pijawek postawić nie potrafi, ani krwi puścić?... Już wam Szloma zły, dlatego, że przyjechał z Warszawy taki młodzik, co by tylko pieniądze brał, a na niczem się nie zna? Taki doktór to tylko dobry dla panów, co ich trzeba leczyć delikatnie. On nie wie, co prostemu człowiekowi robić...

Szarpana za rękaw kobieta szła za wozem, pomimo, że przekonania jej mocno zachwiane zostały.

— Jemu trza baniek — mówił idąc obok niej i zaglądając jej w oczy żyd — tylkom na niego spojrzał, zaraz to poznałem. Ja nie doktor, a widzę, że bez baniek go pochowacie.

Kobieta szła nie odpowiadając. Uniosłszy spodnicę, stawiała wielkie kroki, wymijając ile mogła, błotniste miejsca. Nie podnosiła wzroku na mówiącego. Byli też już u mety i kusiciel znikł.

Stefan stał na progu.

— Trzeba znieść chorego do stancyi — ozwał się — nie mogę go zbadać dokładnie na takiem zimnie. Czy sam nie ma siły się podnieść?

— Ee, ulży się tam troszeńka. No, czypioj się mnie za szyję.

Ale pomimo wysiłku i pomocy małego chłopca powożącego, nie mogła podźwignąć męża.

— Czekajcie! — zawołał Tolski — ja wam pomogę!

Poszedł prędko do wozu i wziął chorego pod pachy. Z jego pomocą udało się znieść biedaka. Położono go na barłogu przeznaczonym dla służącego. W izbie było ciepło od wieczornego napalenia, w którego sile objawiła się cała gościnność aptekarza i felczera. Tolskiemu udało się poznać od razu chorobę. Stan włościanina groźnie mu się nie przedstawił. Zapisał mu jeden z tych środków, które w ręku umiejętnego lekarza cuda czasem zdziałać są w stanie. Wytłómaczył kobiecie sposób użycia lekarstwa i zachowania się z chorym, ale nie znał dobrze języka ludowego i nie zdawał sobie sprawy z trudności pojmowania, jaką się wielu włościan odznacza. Kobiecina słuchała filozoficznie, ale nie jasno rozumiała wyrażenia lekarza, który wszakże chciał przemawiać jak najprzystępniej. Jedno tylko utkwiło jej w pamięci, to, że doktor zabronił stawiać baniek i pijawek i kilka razy zalecenie to powtórzył, a nawet dodał, że szafując krwią chorego, zabić go można. Odprawiona przez Tolskiego kobiecina, szła obok wozu jęczącego męża, zmęczonego znoszeniem i wnoszeniem napowrót na wóz. Była zamyślona i oczy miała w ziemi utkwione. Rozważała, dlaczego doktor tak żałował baniek i pijawek jej mężowi. Przyczynę znalazła wkrótce.

— Musi nam trza do baniek — ozwała się stanowczo — bośmy i konie po takiem błocie spędzili... drugi raz nie warto się tłuc...

— Kiej dochtór pejdzioł...

— Ej... ja ci tak powiem... musi się dochtor ze Slomą drze i tyla!.. Żałuje mu zarobku! Owczarka i wszyscy mówią, że ci trza baniek... i sameś chciał... i nauczyś stawiać... Jedź przed Ślomę, a ja jeno kapeńkę wódki wypiję, bo mi zimno na wnętrzu.

— To i mnie przynieś wiśniaku na zmocnienie, bom bardzeńko osłabł.

Szloma wiedział już o spotkaniu się małżonków z doktorem i o tem, że ten ostatni zabrał ich dla konsultacyi do siebie. Tolski urósł w jego przekonaniu na człowieka niebezpiecznego, z którym wystąpić do walki należy, na rywala, z którym liczyć się trzeba. Przyjął wchodzącą kobietę surowo i dumnie, jak na uczonego i wyższego męża przystało.

(Ciąg dalszy nastąpi).

prowadzenia państwowego monopolu spirytusowego.

Wracając do innych spraw, pośpieszam donieść, że wystawa koni wierzchowych na polu mokotowskiem w Warszawie odbędzie się 27 i 28 maja. Konie będą premiowane nietylko za wygląd, lecz i za jazdę, t. j. za tresurę w jeździe wierzchowej. Po ogłoszeniu nagród, odbędzie się licytacya koni, poprzednio przez właścicieli do sprzedania zadeklarowanych. Szczegóły o tej wystawie nie będą zapewne obojętne dla galicyjskich sportsmenów, którzy, jak słyszę, mają w tej wystawie wziąć udział.

Mamy tu i inny sport wprost przeciwny, bo sport towarzystw pieszych, które właśnie w naszem mieście zawiązują osobny klub, mający się zwać „Klubem turystów pieszych". Jest to bez wątpienia sport najbezpieczniejszy i najzdrowszy, ale ponieważ bardzo dużo trzeba na niego czasu tracić, więc do tanich, jak niektórzy utrzymują, zaliczony być nie może. U nas jednak w Warszawie klub ten ma bardzo licznych zwolenników wśród ludzi zamożnych, którzy mają znaczniejsze dochody z zawodowej pracy i podczas lata mogą sobie spacerować pieszo, gdzie im się podoba. Dowiaduję się, że właśnie w letnich miesiącach grono takich turystów pieszych wybiera się z Warszawy pieszo do Zakopanego, Szczawnicy i Krynicy.

W sferach tutejszych pedagogów i filantropów, powstała myśl uczczenia setnej rocznicy niezapomnianego i zasłużonego Stanisława Jachowicza. Rocznica ta przypada w dniu 17go kwietnia. Stanisław Jachowicz, urodzony w roku 1796, zmarł dnia 24go grudnia 1857 roku i jest pochowany na Powązkach, w pobliżu katakumb, gdzie został wzniesiony drogą składek publicznych piękny pomnik, na którym wyryto następujący czterowiersz układu Wacława Szymanowskiego:

Czysty życiem, co go wiodło
Wśród burz świata i zamieci,
Chrystusowe przyjął godło:
Ojca wszystkich polskich dzieci.

Wielkiej wagi naukowej wyszło tu w dalszym ciągu dzieło prawdziwie pomnikowe Erazma Majewskiego p. t. „Słownik nazwisk zoologicznych i botanicznych polskich". Jest to tom drugi. Pierwszy tom wyszedł poprzednio. Z dzieła tego, opartego na źródłach drukowanych i rękopiśmiennych, odniosą moc ogromną korzyść przyrodnik, etnograf i językoznawca. Ze słownika tego dowiedzieć się można nietylko jaka nazwa odpowiada terminologii łacińskiej, lecz nadto znajduje się wszędzie wskazówka, kto daną nazwę po raz pierwszy w druku użył, począwszy od XV go stulecia; znajdujemy także w słowniku długi szereg nazw ludowych, z różnych stron kraju, a także objaśnienia i porównania z nazwami innych ludów słowiańskich i ludu litewskiego. Dzieło p. Majewskiego stanowi niezawodnie zrąb, na którym już zbudować można jednolitą terminologię polską, zoologiczno-botaniczną.

Z Wołynia nadeszła tu smutna wiadomość, mianowicie w dobrach Iryszki, niedaleko Żytomierza zmarła w tym czasie księżna Kamila ze Stadnickich Światopełk-Czetwertyńska. Zmarła była córką ś. p. Piotra Stadnickiego i Ignacyi z książąt Woronieckich. Wyszła za mąż za księcia Edmunda Światopełk Czetwertyńskiego, syna śp. Marcina i Bibianny z Olmiełowskich. Pozostawiła czterech synów: Olgierda, Witolda, Edmunda i Ryszarda.

Przedwczoraj odprowadziliśmy na Powązki zwłoki młodej, pięknej i bardzo wysoko wykształconej małżonki p. Rowińskiego znanego tutejszego dziennikarza. Ś. p. Aurelia Rowińska z domu hrabianka Dąmbska zmarła w kwiecie wieku, bo licząc zaledwie 22 lata.

Kontrakty kijowskie.

Kijów 4 marca.

Tydzień bieżący jest sednem zjazdów kontraktowych, życie wre w całej pełni, na Kreszczatiku i na Padole gwar i ruch od rana do późnej nocy. Karet i powozów snuje się mnóstwo, a między niemi odznacza się miniaturowa karetka, zaprzężona w parę kucyków, ukazująca się od kilku dni na ulicach Kijowa. Jeździ nią i kłania się na prawo i lewo krótki, nieco pękaty Węgier „Markiz Volgé" ze swą małżonką z Dami, Elizą. Para ta jest bardzo małego wzrostu, rzec nawet można, że najmniejszą na świecie, nawet wśród liliputów i — jak zwykle — robi sensacyę sobą, a także wykwintną, zgrabną karetką i kucykami.

Ale pozostawmy liliputów i zwróćmy uwagę na innych gości, których przybycie dzienniki każdy ma wiele do zanotowania.

Mocarze ze świata finansowego i ziemiańskiego, dziennikarze, artyści, śpiewacy, fabrykanci fortepianów, cukrownicy, właściciele młynów, całe falangi znanych Wam już „faktorów", to wszystko roi się na placach i w domach kontraktowych, kupuje żelazo, póki gorące.

Obok arystokracyi, ziemian i przemysłowców, zjeżdżają tu co rocznie na kontrakty uczeni specyaliści, cały zastęp inżynierów-techników i chemików, spędzając czas na porozumiewaniu się w nowych zastosowaniach technicznych, a przytem robiąc hurtowne zamówienia dla przyszłej kampanii cukrowniczej.

Przybyli tu także między innymi współwłaściciele „Bałtyckiego Banku" pod firmą Stefan Grabski i Spka, p. Józef Szuman z Gdańska. Bank bałtycki jest jedyną na całe Prusy zachodnie polską instytucyą finansową; posiada swą filię w Kijowie i podobno także w Odessie.

Dnia 1-go marca w południe odbyła się tu uroczystość jubileuszowa Towarzystwa technicznego.

Towarzystwo żyje ćwierć wieku. Założone w miasteczku Horodyszcze, w gubernii kijowskiej, przeniosło się w r. 1873 do Kijowa i tu dopiero rozwinęło się stopniowo. Dzisiaj liczy ono 264 członków i jest jednem z najruchliwszych w Rosyi. W uroczystości jubileuszowej wzięło udział bardzo liczne grono goszczących tu na czas kontraktów inżynierów, techników i fabrykantów. Owacyi i telegramów gratulacyjnych było wiele, poczem nastąpiło połowiczne zebranie członków. Po urzędowej części obchodu odbyła się uczta składkowa, na której toasty wypiły się obficie, między niemi także na pomyślność projektu otwarcia w Kijowie instytutu technicznego.

Transakcye kontraktowe idą bardzo żwawo, a operacye z cukrem rozwijają się należycie w r. z. Ceny podniosły się: dosyć do 4 rs. 80 kop. za pud mączki tegorocznej. Cukier kampanii 1896—97 roku sprzedawany jest po 4 rs. 55 kop.—4 rs. 70 kop. za pud. Dywidendy tutejszych cukrowni akcyjnych będą — jak słychać na rocznych posiedzeniach akcyonaryuszy — przeciętnie średnie. Bardzo wysoką dywidendę natomiast wypłaci „prywatny Bank handlowy", którego powodzenie jest niezwykle pomyślne. Za 10-tysięczny udział postanowił Bank wypłacić 1800 rubli, zaś za 250 rublowe akcye po 30 rubli. Ogólna produkcya cukru w kraju w kampanii cukrowniczej 1894 95 była nad spodziewanie mała, wyrobiono bowiem ogółem niespełna 35 milionów pudów; kampania ostatnia (1895 96) spisała się — jak w przybliżeniu obliczają — nieco lepiej, gdyż wyprodukowano prawie 40 milionów pudów, z czego około 14 milionów pójdzie za granicę, podczas gdy z kampanii poprzedniej zagranica nabyła tylko $3^1/_2$ miliona. Przyczyna tego niepowodzenia w okresie cukrowniczym 1894/95 leży w tem, że gatunek buraków był zły, o słabej cukrowości, chociaż urodzaj buraków był obfity, a plantacye buraczane zajęły ogółem prawie 550 000 morgów, czyli licząc po naszemu około 320.000 dziesięcin ziemi.

Wspomniałem wam już dawniej, że zjazdy kontraktowe mogłyby w roku bieżącym obchodzić swój stuletni jubileusz istnienia. Tak samo ma się też z przemysłem cukrowniczym w Rosyi. Pierwszą fabrykę w guberniach środkowych założono w r. 1797; poczem cukrownictwo posuwało się powoli na północ i wschód. Na Ukrainie, mianowicie w gubernii kijowskiej, powstała pierwsza cukrownia w r. 1824, założona przez hr. Poniatowskiego w Troszczynie; istnieje ona do dziś dnia i jest własnością hr. Szembeka. Pierwszą cukrownię w Królestwie polskiem założono w Częstocicach w gub. radomskiej w r. 1827. Dzisiaj cukrownictwo najwięcej jest uprawianem na Podolu, Ukrainie i Wołyniu, a na 229 fabryk w całej Rosyi się znajdujących, prowincye te (przechrzczone przez Rosyan na „kraj południowo-zachodni") liczą 154 cukrowni.

Znudziłem was już chyba tymi tyradami o cukrowniach, cukrownictwie, cukrze i cukrownikach, ale jest to najgłówniejszy punkt programu kontraktowego. Gdyby nie właśnie cukrownictwo, nie miałby Kijów tej gwarnej cechy, tego ruchu niezwykłego, koncertów, odczytów, loteryj etc. Zaglądnijmy więc na chwilę w świat Muzy i innych cudów nauki i techniki, *ad hoc* kontraktów tu się objawiających. Ubiegłego tygodnia wprawiał w podziw talentu p. Wł. Rybka, magik z Warszawy, demonstrując t. zw. anestezę, polegającą na zupełnem znieczuleniu własnej ręki. Zebranie było liczne, a p. Rybka był na ustach wszystkich przez kilka dni następnych. W poniedziałek zachwycał swym talentem skrzypek Barcewicz w towarzystwie orkiestry pod dyrekcyą p. Chodorowskiego, entuzyazm był niesłychany, a sala klubu kupieckiego była szczelnie zapełnioną. Na wtorek zapowiedział swój koncert Reisenauer, lecz zawiódł oczekiwania miłośników muzyki, gdyż podobno choroba zatrzymała go w Londynie. Dziś (we środę) ma się ukazać Mierzwiński Wszystkie bilety na występ króla tenorów już rozkupione.

Dowiedziałem się w kołach artystycznych, że dr. Bandrowski, przyszły dyrektor waszego teatru, zamierza p. Winklera z Łodzi, Rolanda, Myszugę i panią Konarską z Warszawy i jeszcze kilka sił artystycznych, zaangażować na stałe dla sceny lwowskiej. Kontrakty podobno są już w toku.

Głosy prasy o Lewakowskim.

Stolica kraju, która pana Lewakowskiego obdarzyła swym mandatem do Rady państwa, naprózno czeka oświadczenia się jego co czynić zamierza. Bo dłużej przecież ważna ta sprawa w zawieszeniu pozostać nie może. Pan Lewakowski ma jeden jedyny punkt wyjścia z tej smutnej afery. Jeżeli się on przyznaje do narodowości polskiej, jeżeli jest Polakiem — o czem na razie wątpić nie chcemy — jest jego powinnością, jego obowiązkiem starać się wszelkiemi siłami o to, aby Koło polskie go napowrót do swego łona przyjęło, lub też złożyć mandat, a nie dopuszczać do tego, ażeby przez obecność p. Lewakowskiego w Radzie państwa, utrwalił się fakt rozbicia solidarności, która jest i zawsze być powinna nienaruszonym dogmatem naszej polityki w Austryi.

Takie jest nasze zdanie, a że ono jest również zdaniem całego społeczeństwa polskiego, przytaczamy na dowód głosy prasy krajowej, która zgodnie, z wyjątkiem naturalnie *Kuryera lwowskiego* na tę sprawę się zapatruje. Oto one:

Czas pisze w artykule wstępnym z dnia 13 b. m.:

„Nie potrzeba przypominać przedstawicielowi stolicy, że wybrany został do Izby na podstawie solidarności Koła polskiego. P. Lewakowski wie to bardzo dobrze, bo z tej właśnie świadomości wypłynęło efemeryczne — niestety — postanowienie jego przed kilku miesiącami złożenia mandatu. Wówczas jednak nie było formalnie koniecznego do rezygnacyi powodu; dlatego też p. Lewakowski, zbadawszy barometr wyborczy lwowski, który mu nie wskazywał pogody, rezygnacyę cofnął. Dziś, bez względu na te meteorologiczne względy, polityczna uczciwość każe p. Lewakowskiemu zażądać od wyborców upoważnienia do prowadzenia polityki *liberi veto*. Oczywiście jednak upoważnienie takie musi być dane wyraźnie i niewątpliwie, a więc w kształcie ponownego wyboru na zasadzie zerwania solidarności Koła. Tym razem opinia kraju będzie mniej pobłażliwą i nie zadowolni się zapewnieniem *Kuryera lwowskiego*, że p. Lewakowski otrzymał „z wielu kół wyborczych" zapewnienie zaufania. Nie, to już nie starczy! Gdzie chodzi nie o chwilowe nieporozumienia, ale gdzie zakwestyonowano podstawę zazadniczą, na której się opiera działalność polityczna Polaków w Austryi, tam p. Lewakowski nie może liczyć na przywilej, który mu służył dotychczas: na przywilej, iż wesołość głuszyła oburzenie, gdzie chodziło o osobę szanownego posła lwowskiego."

Podobnież pisze *Nowa Reforma*:

„Przyjmując mandat, przyjął p. Lewakowski zarazem obowiązek należenia do Koła polskiego. W chwili, w której sprzeczność zapatrywań Koła z jego przekonaniami w ogóle przechodzi zwykłe granice, a w szczególności w chwili obecnej, powinien on wpierw, zanim z odzyskanej swobody skorzysta, odwołać się do wyborców."

Gazeta narodowa pisze znowu bardzo rozsądnie jak następuje:

„Skoro dr. Lewakowski jawnie i z rozmysłem wobec pełnej Izby okazał, że zrywa solidarność z Kołem, to Koło bynajmniej nie potrzebowało go „wykluczać", lecz z całą świadomością następstw tego kroku wystąpił on sam z Koła, i Kołu nie pozostało nic więcej do czynienia, jak fakt jego wystąpienia przyjąć do wiadomości. Tak się też stało.

Najlepszym zaś dowodem tego, że dr. Lewakowski działał z rozmysłem, chcąc ponowną demonstracyą publiczną przeciw Kołu polskiemu wobec pełnej Izby objawić zamiar swój formalnego zerwania z niem solidarności klubowej jest fakt, że — gdy podczas głosowania nad wnioskiem Gessmanna koledzy obok Lewakowskiego siedzący widzieli, że on wstaje, co jest oznaką głosowania za wnioskiem, zawołali: „Siedź, albo wyjdź!" — dr. Lewakowski na to odpowiedział: „Wiem sam, co mam czynić!" i wystąpił z ławki, aby skrutatorowie przy liczeniu głosów lepiej go widzieli.

Więc wiedział dr. Lewakowski, co miał czynić w Izbie. Zachodzi teraz pytanie, czy będzie on miał tyle honorowego poczucia obowiązku wobec swoich wyborców, żeby stanął przed nimi i zapytał, czy oni solidaryzują się z nim w sprawie wystąpienia jego z Koła polskiego?

Poseł, który mandatu swego nie uważa za patent do robienia z siebie komedyi, lecz odczuwa całą doniosłość połączonej z mandatem odpowiedzialności i powagi reprezentanta kraju w ciele ustawodawczem nie lekceważy, powinien usprawiedliwić przed wyborcami krok tak ważny jak wystąpienie ze związku klubowego, do którego należy.

W tym zaś razie, gdy nie ma najmniejszej wątpliwości, iż nietylko ogół wyborców, ale cały naród nasz uznaje konieczność solidarnego Koła polskiego na zewnątrz — solidarność ta bowiem stanowi siłę reprezentacyi naszej w Wiedniu — nie pozostaje p. Lewakowskiemu nic innego do zrobienia, jak prosić Koło polskie o ponowne przyjęcie lub złożyć mandat w ręce wyborców.

Dla przeważnej większości wyborców miasta Lwowa bowiem nie może to być rzeczą obojętną, że ich poseł opuścił sztandar Koła polskiego i zapisać się chce pod sztandar nie wiadomo nawet jaki.

Dr. Karol Lewakowski powinien te uczucia wyborców swoich zrozumieć i uszanować. Wymaga tego po nim uczciwość obywatelska i poczucie własnej godności... prosta przyzwoitość!

Słowo polskie obszernie motywuje swoje zdanie w sposób następujący:

Posłowie polscy, wstępując do Koła, obowiązują się przestrzegać statutu. Dopóki się jest członkiem Koła, zobowiązania takiego dotrzymać się musi. Dr. Lewakowski zatem powinien był przed głosowaniem oświadczyć, że z Koła występuje, a dopiero wtedy mógł był, bez ściągnięcia na siebie zarzutu niedotrzymania zobowiązania, głosować przeciw Kołu.

Ale, gdyby nawet był dopełnił formalności poprzedniego wystąpienia z Koła, musielibyśmy czyn jego potępić, jako zerwanie solidarności z narodową reprezentacyą kraju naszego w Wiedniu. Ta solidarność jest całą naszą siłą, w obec różnorodnych, a przeważnie nieprzychylnych nam czynników, z jakimi się tam spotykamy Ona jest podwaliną naszej politycznej organizacyi — a z usunięciem tej podwaliny, Koło przestałoby być reprezentacyą kraju. Mielibyśmy kilkudziesięciu posłów, reprezentujących poszczególne okręgi wyborcze galicyjskie, przedstawiających interesy tej lub owej okolicy, interesy tej lub owej kuryi, ale nie mielibyśmy polskiej reprezentacyi w Wiedniu. A o to chyba sporu nie będzie, że taka zbiorowa reprezentacya narodowa jest koniecznością polityczną nie dla Galicyi tylko, i że w obec braku własnej państwowej organizacyi, któraby mogła wysyłać swoich pełnomocnych ministrów, my musimy mieć w ciałach reprezentacyjnych poselstwa polskie, jeżeli w ogóle ma być mowa o jakiemkolwiek znaczeniu narodu polskiego w toku aktualnej polityki.

Ażeby zaś nasi posłowie tworzyli takie poselstwo — musi się ich wola objawiać na zewnątrz jednolicie. I dla tego obowiązek solidarności jest absolutnym przykazem patryotyzmu, z pod którego wyłamywać się nie wolno. I nie można mówić: sprawa była drobna, nieznacząca wiele, wniosek i tak przeszedł przeciw Kołu polskiemu, dr Lewakowski swoim głosem nie zmienił stosunku głosów i t. p. Bo tu nie o materyalny, ale o moralny efekt idzie, ten zaś jest zawsze szkodliwy, gdy na zewnątrz Koło nie stoi solidarnie, bez względu, czy w grze była ważna lub mniej ważna sprawa.

Uwagi swoje kończy *Słowo polskie* temi słowy:

Poseł Lewakowski ostatniem swem wystąpieniem zakończył swoją polityczną rolę. W Kole mógł być czemś — poza Kołem będzie niczem. Nie na jego barki ciężar, którego nawet ś. p. Hausner udźwignąć nie zdołał.

W interesie narodowej sprawy, która bezwarunkowo wymaga solidarności Koła, postępek dra Lewakowskiego potępionym być musi przez wszystkich, którzy nie chcą się wykluczyć z narodowego obozu. A nie będzie mu nawet towarzyszyć to współczucie, ktoby go był doznał, gdyby w obronie jakiej wielkiej sprawy występując, popełnił błąd, i upadł pod brzemieniem tego błędu. Byłoby w tem przynajmniej coś tragicznego. Ale wykluczyć się z narodowej reprezentacyi z powodu jakiegoś zgromadzenia „*in Retz in Niederoesterreich*" — to doprawdy jest wyższa komika.

Dziennik polski wypowiada także to zdanie, bo cytuje uwagi *Czasu* w sposób świadczący, że się z niemi zupełnie zgadza.

Tow. oficyalistów prywatnych.

W ostatnim dniu obrad załatwiono wnioski komisyi administracyjnej, która przedłożyła cały szereg spraw drobniejszych. Pomiędzy innemi polecono wydziałowi centralnemu aby postarał się o ulgi dla członków w zakładach leczniczych, o zniżenie opłat na kolejach, w szpitalach i prenumeratę dzienników.

Następnie referent dr. Szymański przedłożył budżet na rok 1896 z przychodami w kwocie 92.650 zł. i wydatkami 73.374 zł. 98 ct. Długą dyskusyę wywołała rubryka 279 zł. na podwyższenie pensyi urzędników Towarzystwa. Cały szereg mówców przemawiał przeciw podwyższeniu, w obronie wniosku wystąpili pp. Stroner i Szczerbicki, oraz referent, który zaznaczył, że oficyaliści prywatni, sami tak gorąco i słusznie swoją drogą domagający się polepszenia swej doli, nie powinni sprzeciwiać się koniecznemu przyjściu w pomoc swoim własnym oficyalistom.

Nakoniec zabrał głos prezes hr. Zamoyski i ostrzegał przed niewczesną oszczędnością, mogącą fatalnie odbić się na Towarzystwie, wystraszając dzielne siły z pomiędzy jego urzędników. Mimo to w głosowaniu imiennem, tylko częściowo przychylono się do tego wniosku, przeznaczając tylko 100 zł. dodatków osobistych, a 79 zł. drożyźnianych. P. Reichart, po uchwaleniu robił kwestyę ze sposobu głosowania nad wnioskiem, ale prezes p. Zamoyski słusznie ostro upomniał go, aby nie wkraczał w funkcyę przewodniczącego.

Budżet przyjęto zresztą wedle preliminarza komisyi.

Na tem wyczerpano porządek dzienny, poczem zabrał głos prezes hr. Zamoyski i skonstatowawszy, że towarzystwo stoi dziś wprawdzie bardzo dobrze pod względem finansowym, jednakże ma coraz większe sumy do wypłacenia z powodu zwiększania się liczby emerytów, zachęcał, aby dzisiejsi członkowie starali się kaptować nowych, zwłaszcza, że z ogólnej liczby 4.000 oficyalistów prywatnych, zaledwie 2300 należy do stowarzyszenia. Życzeniem: „Daj Boże szczęście!" zakończył p. Zamoyski swoje przemówienie.

Z izby sądowej.

Lwów, 12 marca.

(*Pobicie*).

W sekcyi trzeciej tutejszego sądu pow. m. del. stawał dziś właściciel handlu obuwiem „karlsbadzkiem" Herman Tendler, oskarżony o pobicie. P. M., urzędnik dyrekcyi skarbu nabył swojego czasu w sklepie Tendlera obuwie, które jednak po kilkorazowem użyciu się rozleciało. Przyszedł więc do sklepu i zwrócił się do właściciela z wyrzutami. Gość jakiś który chciał właśnie kupić obuwie, słysząc skargi p. M., zaniechał kupna i wyszedł ze sklepu. Tendler rozgniewany tem, zamknął drzwi od sklepu i obił p. M.

Sędzia skazał Tendlera na karę 10-dniowego aresztu, względnie 150 zł. grzywny i zapłacenie odszkodowania za ból w kwocie 50 zł.

* * *

(*Wyzyskiwacze Lebaudy'ego.*)

Paryż 10 marca.

Przed tutejszym sądem karnym rozpoczęła się wczoraj rozprawa karna przeciw szajce oszustów, którzy w bezczelny sposób wyłudzali od zmarłego niedawno młodego milionera Lebaudy'ego ogromne sumy pieniężne Na ławie oskarżonych zasiadają: de Cesti, mentor „rekruta-milionera"; bracia Józef i Ulryk de Civry, naturalni synowie księcia brunświckiego, redaktorowie pisemka dla spraw wojskowych *Echo de l'armée*; Jacques Saint-Cére, redaktor *Figara*; Jerzy de Labruyère, dziennikarz; Karol de Perrieres, znany sportsman i korsykański dziennikarz Chiarisoli. Ósmego oskarżonego Szydłowskiego, sekretarza Cestiego, po przeprowadzeniu śledztwa uwolniono od oskarżenia.

W procesie tym główną rolę odgrywa Jacques Saint-Cére, a właściwie Jakób Rosenthal. Liczy on lat 41 i pochodzi z zamożnej rodziny. Odbywszy w Francyi służbę wojskową, rzucił się w wir życia towarzyskiego, trwonił grosz bardzo nieoględnie, tak iż rodzina wzięła go w kuratelę. Urażony za to do rodziny udał się z Paryża do Niemiec, pracował w piśmie *Auf der Höhe* poczem do Paryża powrócił i otrzymał posadę w redakcyi *Voltaire* W rok później za zdradę zaufania i usiłowane oszustwo został skazany na 13 miesięcy więzienia. Ażeby ujść zasłużonej kary wymknął się znów do Niemiec, a gdy sprawa się przedawniła, po siedmiu latach zawitał znów nad Sekwanę, gdzie przyjąwszy nazwisko Jacques Saint-Cére, objął redakcyę działu polityki zagranicznej w paryskim *Figarze*. Marnotrawstwa jednak się nie oduczył, jakkolwiek miał około 100 tysięcy franków rocznego dochodu, długi jego w chwili aresztowania dosięgały cyfry pół miliona franków. Gdy więc inni „przyjaciele" wzięli młodego Lebaudy'ego w „opiekę", Jacques Saint-Cére nie zaniedbał sposobności, ażeby swej nigdy nie nasyconej chciwości nie dogodzić Maksymilian Lebaudy poznał się z Saint-Cére'm w sierpniu roku 1895 podczas wyścigów konnych w Deauville, na które przybył wraz z swą przyjaciółką panną Marsy, artystką teatru „Comédie Française". W towarzystwie tej pary Saint-Cére spędził cały czas wyścigów i korzystał z gościnności Lebaudy'ego, który zaprosił go na obiad. Niebawem pojawił się w *Figarze* artykuł, w którym ukryty pod pseudonimem redaktor zarzucał Lebaudy'emu, że wykręcający się pod pretekstem choroby od służby wojskowej milioner wcale chorym nie jest. Sprawę tę pochwyciły inne pisma i ostro wystąpiły przeciw władzom wojskowym, które zamiast powołać marnotrawcę do służby, pozwalają mu przegrywać olbrzymie sumy w bakkarata. Podburzania te nie były bez skutku, gdyż władze wojskowe wkrótce potem powołały Lebaudy'ego w szeregi armii.

Lekarze polecili jednak nowozaciężnego rekruta milionera oddać do szpitala, twierdząc, że Lebaudy naprawdę jest chory. Lebaudy ze szpitala napisał do Saint-Cére'a list, w którym mu robił grzeczne wyrzuty z powodu owego artykułu zamieszczonego w *Figarze*. W dwa dni później Saint Cére odpisał do Lebaudy'ego, iż nie chciał mu szkodzić, ale niestety stosunki tak się ułożyły, że nie można o nim nic dodatniego napisać, aby nie popaść w podejrzenie, iż się otrzymało od niego za to nagrodę pieniężną.

Od tej chwili napaści na Lebaudy'ego w *Figarze* zupełnie ustały. Saint Cére zmienił front, a nawet zamieścił w *La Vie Parisienne* artykuł w obronie Lebaudy'ego. Na zmianę tę wpłynęło to, że równocześnie z napisaniem owego artykułu w *La Vie Parisienne*, wysłał list do panny Marsy z prośbą, aby wpłynęła na Lebaudy'ego, iżby jemu pożyczył 40.000 franków. Pieniądze te otrzymał.

Ulryk de Civry był śmielszym w swych żądaniach, gdyż za tydzień urlopu, wyrobionego dla Lebaudy'ego, zażądał 125.000 fr., gdy zaś sumy tej nie otrzymał, począł nań napadać w sposób nienawistny w *Echo de l'armée*.

Rozprawa rozpoczęła się wczoraj o $^1/_2$ do 1 w południe. Mała sala rozpraw, w której pomieścić się może wygodnie tylko 100 osób, przez kilka godzin przed rozprawą zapełniona była szczelnie ciekawymi. Ścisk ogromny. W pierwszym szeregu widzów zasiadła pani Severine, sławna dziennikarka francuska.

Gdy panna Marsy weszła do sali, wielki ruch zapanował wśród widzów, a oczy wszystkich zwróciły się ku drzwiom, aby zobaczyć przyjaciółkę zmarłego Lebaudy'ego. Jest to bardzo piękna blondynka, ubrana w żałobę. Następnie wprowadzono oskarżonych. Pierwszy wszedł Cesti. Jest on bardzo blady, widocznie mocno zdenerwowany. Wszedł do sali krokiem pewnym; znajomych, znajdujących się wśród publiczności, powitał lekkiem skinieniem głowy. Saint Cére opiera się na lasce, jest on wielce schorowany. Zdaje się, że przemocą łzy powstrzymuje. Akt oskarżenia obwinia podsądnych o zbrodnię oszustwa, usiłowanego oszustwa i wymuszenie.

Pierwszy przesłuchany został Ulryk de Civry, który wypiera się wszelkiej winy. Na pytanie przewodniczącego, opowiada, że Lebaudy'ego poznał w Londynie w roku 1894, zaopiekował się nim, przed wstąpieniem do służby polecił go jako były wojskowy znajomym oficerom, potwierdza, że wyrobił swemu przyjacielowi urlop, zaprzecza natomiast, jakoby pod groźbą żądał owych 125 000 fr. Gdy przewodniczący oznajmia mu że nie otrzymawszy żądanej sumy, zasypywał nieustannie ministra wojny i jenerała Fermeta bezimiennemi denuncyacyami na Lebaudy'ego, Ulryk de Civry nie znajduje nic do powiedzenia na swoją obronę, a równobrzmiącym zeznaniom świadków i współoskarżonych zaprzecza stanowczo.

Podczas przesłuchania świadka dep. Lalou, naczelnego redaktora dziennika *France*, wyszły na jaw kompromitujące świadka szczegóły. Lalou popierał u władz wojskowych sprawę Lebaudy'ego i zwrócił uwagę jenerała Boussenarda na knowania Civry'ego. Uczynił to z przyjaźni dla Lebaudy'ego. Zeznaniu temu zaprzecza Civry i twierdzi, iż Lalou dlatego tylko występował w obronie Lebaudy'ego, że miał nadzieję uzyskać od niego pożyczkę w kwocie 300.000 fr. Lebaudy opowiadał o tem wszystkim swym znajomym. Wielką sensacyę w sali wywołał ten fakt, że gdy przesłuchanie deputowanego Lalou się skończyło, przewodniczący rzekł do niego: polecam panu, abyś każdej chwili był gotów przybyć na wezwanie prokuratora.

Przesłuchiwany następnie Cesti broni się bardzo zręcznie. Przyznaje, że dostał od Lebaudy'ego 50.000 franków, ale była to tylko zasłużona nagroda za te trudy, które poniósł on w obronie praw Lebaudy'ego.

Świadek, panna Marsy, zeznaje, że Lebaudy ogromnie bał się Cestiego. Chciał z nim kilkakrotnie zerwać wszelkie stosunki, ale zaniechał tego, obawiając się jego zemsty. Następnie szeroko opowiada świadek o tem, jak Cesti lekarzom wojskowym miał rzekomo zamiast plwocin Lebaudy'ego przedstawić plwociny jakiejś chorej na gruźlicę kobiety i że żądał za to dla owej kobiety 5.000 franków. Nadto zeznaje panna Marsy, iż Lebaudy jej opowiadał, że dał Cestiemu 100.000 franków.

Bardzo zajmującem było przesłuchanie panny Hérubel, u której Cesti kupował tuberkuliczne plwociny. Jest to młoda, ładna osoba, wysokiego wzrostu, bardzo elegancko ubrana. Na zapytanie przewodniczącego opowiada słabym głosem, iż Cesti'ego poznała w Folies Bergères w Rouen. Cesti zbliżył się wówczas do niej i rzekł: „pani bardzo silnie kaszlesz, musisz się pielęgnować", po czem dał jej 10 franków i zanotował sobie jej adres. W trzy dni potem przyszedł do niej i opowiadał, iż jakiś lekarz bardzo się nią interesuje i chce ją przewieźć do Paryża. Od tego dnia otrzymywała co dnia 20 franków, a gdy jej polecono wyjechać do Paryża, dano jej na podróż 500 franków. W Paryżu wskazano jej mieszkanie, poczem umieszczono ją w sanatoryum dra Dubois Do sanatoryum przychodził codziennie dwa razy sekretarz Cesti'ego Szydłowski i zabierał z sobą jej plwociny. Na pytanie przewodniczącego kto pokrywał koszta utrzymania Herubelównej, odpowiada Cesti, iż czyniła to rodzina Lebaudy.

Następny świadek lekarz wojskowy Cazal, twierdzi stanowczo, iż Lebaudy był chory na gruźlicę i sądzi, iż Cesti nie potrzebował przedkładać lekarzom do analizy cudzych plwocin, gdyż już przedtem, zanim Cesti zawarł znajomość z Herubelówną, Lebaudy był uznany za suchotnika i władzom wojskowym został przedłożony wniosek o uwolnienie Lebaudy'ego z wojska z powodu choroby. Inni lekarze składają takie same zeznania.

Dziennikarz Charisolo, który był pośrednikiem między Lebaudy'm a Labruyè'rem, twierdzi, iż Labruyère żądał od Lebaudy'ego 25.000 franków za milczenie w jego sprawie. Labruyère przeczy temu.

Świadek Maurycy Bertrand, który żył w przyjaznych stosunkach z Lebaudym, przytacza fakt, że Cesti, który właściwie nazywa się Leon Wertheimer, w korespondencyi z przebywającym w wojskowym szpitalu Lebaudym namawiał go do wymknięcia się ukradkiem ze szpitala, żeby przez kilka godzin mógł uczestniczyć w walce byków w pewnem miasteczku hiszpańskiem niedaleko granicy francuskiej. Cesti przedstawiał Lebaudyemu, że krok taki nie byłby wcale niebezpiecznym, gdyż do porannej wizyty lekarskiej chory będzie mógł już napowrót być w szpitalu, a walka byków to przecież bardzo miłe widowisko. Po za tym bądź co bądź nieco ryzykownym planem kryło się jednak coś o wiele gorszego. Cesti postarał się już o to, żeby ucieczkę Lebaudyego natychmiast spostrzeżono i ogłoszono go dezerterem. Powrót do Francyi byłby więc dla zbiega niemożliwym, chyba żeby się zdecydował stanąć przed sądem wojennym. Przed zrobieniem Lebaudyemu propozycyi o chwilowej ucieczce do Hiszpanii starał się Cesti o pełnomocnictwo do zarządzania 30milionowym majątkiem jego. Gdyby więc Lebaudy uciekł i został ogłoszony dezerterem, Cesti stałby się panem ogromnej fortuny.

Cesti nazywa te zeznania świadka Bertranda fantastyczną historyą

Bertrand przypomina Cestiemu, że chciał on uwieść Lebaudyego do Włoch, a tylko myśl o Kalabryi — gdzie Cesti, jako oszust, był przez władze poszukiwany — powstrzymała go od wykonania tego planu.

Oskarżony Chiarisolo, pośrednik Cestiego w sprawach Lebaudyego, zeznał, że Cesti imieniem swego przyjaciela przyrzekł mu 10 000 fr., jeżeliby wpłynął na to, żeby pani Seweryna zaprzestała napaści na Lebaudyego. Między Chiarisolem a panią Seweryną miał znów pośredniczyć Labruyère, który za tę humanitarną przysługę żądał 25.000 fr.; ale według zeznania Cestiego starał się on tylko o pożyczkę 20.000 fr. z kieszeni Lebaudyego.

Powołani na świadków dwaj wyścigowcy twierdzą, że Chiarisolo żądał od nich, jako od pośredników Lebaudyego, 30.000 fr. Temu Chiarisolo przeczy; twierdzenie zaś wyścigowców, jakoby mówili prawdę, że działali z filantropii, zbija rozumowaniem, iż ludzie, którzy „w końskim gnoju szukają chleba", nie mają żadnej racyi ukrywania się pod płaszczyk filantropii.

Przesłuchiwany oskarżony Rosenthal, używający pseudonimu Jacques Saint-Cère, nie chce nic wiedzieć o skazaniu go w Paryżu na 13 miesięcy więzienia. Panna Marsy, którą Rosenthal kilka razy jako aktorkę nieprzychylnie skrytykował, sprawiła zdaniem Rosenthala to, że do rąk sądu dostały się listy w których Lebaudy rzekomo donosi swej przyjaciółce, iż Rosenthal żądał pewnego razu 40.000 fr., obiecując milionerowi poparcie u ambasady rosyjskiej, innym razem 7000 fr., które Lebaudy miał Chiarisolemu wypłacić, jak odnośny list świadczy. Chiarisolo składa to na karb fantazyi panny Marsy i przeczy, jakoby kiedykolwiek od Lebaudyego dostał lub żądał pieniędzy.

Rozprawa trwa dalej.

KRONIKA.

Lwów 16 marca.

O zbytku mówił wczoraj w sali kasyna mieszczańskiego p. Bronisław Łoziński i śmiało powiedzieć można, iż dawno nie słyszeliśmy tak znakomicie i z taką znajomością rzeczy wygłoszonej prelekcyi Czem jest zbytek, a raczej co jest zbytkiem, tego nikt dotąd jasno i stanowczo określić nie zdołał. Długi, o setki lat wstecz sięgający szereg badaczy najwybitniejszych silił się na zdefiniowanie zbytku, ale dotąd nikomu nie powiodło się dać określenia zupełnie wyczerpującego. Zbytek był i jest w cywilizacyjnym rozwoju ludności czynnikiem ujemnym i dodatnim równocześnie. Jako czynnik dodatni — geniusz zbytku — był przyczyną wszystkich prawie zdobyczy cywilizacyjnych; jako czynnik ujemny — demon zbytku — był przyczyną strat ekonomicznych, przyczyną depprawacyi i upadku moralnego. Badacze zastanawiający się nad istotą zbytku rozeszli się w obu tych kierunkach, jedni— rygoryści — potępiają każdy najmniejszy objaw

zbytku, dochodząc nawet do paradoksalnych poglądów à la Rousseau i Saint Just, że ludzkość najszczęśliwszą by była, gdyby człowiek zrzekł się wszystkich wykwintniejszych potrzeb i wymogów, drudzy — liberaliści — bronią zbytku jako geniusza cywilizacyi ludzkiej. Reprezentantem najbardziej charakterystycznym rygorystów jest Laveleye, który twierdzi, iż „zbytek podtrzymuje społeczeństwo, ale tak jak strzyk wisielca"; reprezentantem liberalistów jest Leroy-Beaulieu, który dowodzi, że zbytek jest dźwignią całego rozwoju ludzkości. Streściwszy poglądy tych reprezentantów obu przeciwnych obozów, przedstawił prelegent zapatrywania najwybitniejszego naszego ekonomisty dra Bilińskiego, który zajął stanowisko pośrednie, dzieląc zbytek na absolutny i względny tj. komfort. Zbytek absolutny, czy to w kierunku zadowolenia materyalnych, czy to artystycznych zachcianek jest marnotrawstwem, ale komfort jest rzeczą nietylko zupełnie naturalną, ale nawet dodatnim czynnikiem w cywilizacyjnym rozwoju. Ale dr. Biliński sam zaznacza, że wypowiedziane przezeń poglądy nie są definicyą jasną.

Zbytek jest to pojęcie względne, zmieniające się z biegiem czasu. To, co obecnie uważa się za zbytek, było w innym okresie czasu rzeczą komfortu; to, co dla nas jest niezbędnem, uważali nasi poprzednicy z przed wieków za zbytek niesłychany. Prelegent przytacza zebrane przez Taine'a przykłady zbytku we Francyi przedrewolucyjnej, które nas przerażają; a z drugiej strony przytacza rzeczy niewchodzące nawet w zakres komfortu, których posiadanie przed setkami lat byłoby budziło zgrozę rygorystów. Mimo braku i niemożności ścisłego kryteryum zbytku trzeba zachować jego określenie jako demona, a równocześnie i geniusza. Ale pod geniuszem trzeba rozumieć nie zbytek-marnotrawstwo, lecz zbytek-komfort, który jeżeli obejmie jak najszersze warstwy społeczeństwa, jest dowodem bogactwa narodowego. O ile w przeszłości demon zbytku, marnotrawstwo było górą, o tyle w przyszłości należy o to, aby geniusz zbytku był górą, i tu stanowić powinna kryteryum granica, gdzie się zaczyna: za wiele. Granicę tę wskazuje nam ideał piękna i dobra, który nie zna nigdy owego: za wiele. Dla nas granicą jest jeszcze trzeci ideał, ideał narodowego rozwoju. To też pod hasłem tych trzech ideałów powinniśmy skupić nasze siły w celu ograniczenia panowania demona, a wyłącznego panowania geniusza zbytku.

† Albin Odrowąż Waligórski, doktor medycyny, osiadły od lat trzydziestu w Przemyślanach jako lekarz powiatowy, zmarł dnia 9 bm. Na cmentarz miejscowy odprowadził zwłoki kilkutysięczny orszak, nad trumną przemawiali: komisarz starostwa Władysław Skałkowski imieniem kolegów, dr. Herman Barbag imieniem lekarzy, Bronisław Zamorski od obywatelstwa powiatu.

Śp. Albin Waligórski urodził się w Wykotach z ojca Michała i matki Józefy z Łanieckich w r. 1836. Rodzice zmarłego dzierżawili przez długie lata Wykoty, Brzeziany i Dyllce, a następnie Piasowice w Samborskiem. Początki wychowania odebrał w domu, potem uczęszczał do szkół w Samborze i do gimnazyum w Preszowie, a następnie po chlubnie odbytych studyach otrzymał na wszechnicy w Wiedniu w r. 1861 stopień doktora wszech nauk lekarskich i tam przez lat dwa praktykował pod kierunkiem znakomitego dra Hebry. Wróciwszy do kraju zamieszkał zrazu w Mielnicy w powiecie borszczowskim, a od lat trzydziestu w Przemyślanach, gdzie zyskał sobie powszechny szacunek. Przez ciąg lat zasłużył się ludności nawiedzanej częstokroć epidemiami energicznem zapobieganiem rozszerzaniu się epidemii, szczególnie w czasie ostatniego pojawienia się choléry; przed dwoma tygodniami, gdy w kilku gminach wybuchł tyfus plamisty, śp. Albin Waligórski pewnego dnia obszedł aż 56 chat włościańskich, w pełnej już nocy [illegible] wrócił do domu i pomimo bardzo starannego ratunku dra Barbaga i dra Dolnickiego, [illegible]

[illegible]

Ś. p. Albin Waligórski nietylko jako lekarz był ludzkim, znalismy go także jako uczynnego przełożonego, kolegę i szczerego przyjaciela, a raczej jako męża, który każdemu, o którego wiedział, śpieszył z pomocą. [illegible]

[illegible]

Żyć trzeba, jak nam obowiązek każe,
Chociażby polegli, byle przy sztandarze
[illegible]
To starczy za byt; na wieczność [illegible]

Ordery papieskie. W podanej onegdaj wiadomości o odznaczeniu [illegible] wielką wstęgą orderu św. Grzegorza zaszła omyłka. Order św. Grzegorza nie jest „najwyższym," ale „jednym z najwyższych" orderów papieskich. Najwyższym jest order Chrystusa, po nim order św. Piusa, a trzecie miejsce zajmuje order św. Grzegorza.

Konkursa. Magistrat miasta Lwowa rozpisuje konkurs na posadę manipulanta administracyjnego przy korpusie straży ogniowej z płacą roczną 700 zł., pomieszkaniem i dwoma kwinkweniami po 100 zł. — Wydział Rady powiatowej w Podhajcach na posadę sekundaryusza przy szpitalu powszechnym w Podhajcach z płacą roczną 300 zł. — Rady szkolne okręgowe w Starem mieście, Mościskach, Rzeszowie i Tarnopolu na posady nauczycielskie w szkołach ludowych.

P. Henryk Lam, dyrektor zakładu ubezpieczeń od wypadków, zachorował ciężko na zapalenie płuc; żywimy jednak nadzieję, że tak bardzo zasłużony i pożyteczny ten mąż wróci rychło do zdrowia.

Sprostowanie. W numerze 59 *Przeglądu* podano mylnie kwotę ofiary złożonej przez pp. A. Bilińską z Jaktorowa i Maryę Mojseowicz z Szydłowiec na kościół Matki Boskiej w Kochawinie, gdyż obie te panie złożyły nie po 1 zł., lecz po 2 zł

Zagadka. W sprawie poruszonej pod tym tytułem w numerze 62 *Przeglądu* otrzymujemy następujące pismo:

„Szanowny autor owego artykułu dziwi się dlaczego Wielkanoc grecka przypada w tym roku razem z Wielkanocą katolicką, kiedy porównanie dnia z nocą przypadające 21 nowego stylu nie jest równocześnie z 21 starego stylu.

Na to odpowiedź jest bardzo prosta. Ruch ciał niebieskich i wszystkie fenomena od nich pochodzące, odbywają się podług praw postanowionych przez Boga, a nie podług kalendarzy przez ludzi wymyślonych. Zmiany księżyca są dla całej Europy w tym samym dniu. Również i porównanie dnia z nocą jest tegoż samego dnia. Podług nowego stylu wypada ono 21 marca, natomiast podług starego stylu wypada 9 marca. Ja piszący to, urodziłem się i wychowałem w prowincyach polskich dziś będących pod rządem rosyjskim, gdzie obowiązującym dla katolików jest styl juliański. Zawsze więc widziałem w kalendarzach (póki jeszcze wolno było je drukować po polsku) wiosenne porównanie dnia z nocą 9 marca. *H. S.*

Rozmowę z panią Nansen opisuje pewien turysta niemiecki, który miał sposobność odwiedzić ją w Lyzaker, oddalonem o pół godziny drogi od Chrystyanii. Pani Nansen mieszka w typowej norweskiej wilii, wybudowanej z grubego drzewa i nazwanej od okrętu męża „willa Fram". Pomiędzy willą a jeziorem ciągnie się mały ogród, z którego przepyszny widok na fjordy. Wprowadzono mnie — pisze wzmiankowany podróżnik — do salonu, umeblowanego z wielkim komfortem i smakiem. Pokój to niewysoki z sufitem ozdobionym, zwyczajem norweskim, wygładzonemi belkami. Wesoły ogień pali się na kominie. W rogu na biurku stoi naturalnej wielkości biust Nansena, a na stole mnóstwo jego fotografii w rozmaitych wielkościach i pozach. Pani Nansen, córka profesora uniwersytetu Larsa, jest sławną śpiewaczką. Drzwi za mną otwierają się i wchodzi pani domu — północna Penelopa, wysmukłej postaci z poważną, wyrazistą twarzą. Ciemne włosy otaczają czoło, a piękne duże oczy dopełniają wdzięcznej całości. Nansen ożenił się z nią zaraz po zdaniu egzaminów, lecz u małżonki bawi zawsze krótko, bo tajemnicza północ stale go nęci do siebie. Przywiozłem pani Nansen pozdrowienia od licznych przyjaciół w Kopenhadze, wspomniałem, iż świat cały z niezmiernem zainteresowaniem oczekuje wiadomości od jej męża, wreszcie zapytałem, jakie wrażenie zrobiły na niej ostatnie wieści i czy dały jej powód do nadziei lub radości.

— Bynajmniej — odrzekła pani Nansen — bo temu wszystkiemu nie wierzę. Wiadomości, które obiegają, uważam za kaczki dziennikarskie i dlatego nie wiele mnie one obchodzą.

— Więc pani nie wierzy w powodzenie swego męża?

— Wierzę, niezawodnie, lecz nie sądzę, żeby wszystko poszło tak łatwo i tak gładko.

— Byłbym bardzo ciekaw usłyszeć zdanie pani o całej wyprawie.

— Oblegają mnie listami i telegramami, lecz przyznam się panu otwarcie, że nic się na tej sprawie nie znam, nawet niechętnie o niej mówię. Mogę panu powiedzieć tylko tyle, że wierzę w powrót męża, lecz nie teraz. Teraz jeszcze za wcześnie.

Potem mówiłem o podziwie, jaki cały świat cywilizowany ma dla jej męża.

— Wiem, że posiada dużo sympatyi — odrzekła z zadowoleniem — i ta sympatya dodaje mi siły. On jest moim smutkiem i moją największą pociechą.

Siedzieliśmy przed oknem, z którego roztaczał się prześliczny widok na jezioro, lasy jodłowe i góry, które w mgle niebieskawej ukazywały się w oddali. Zwróciłem uwagę na cudowną naturę.

— Obecnie jest cokolwiek monotonną — rzekła smutnie, a wzrok jej błądził po okrytych lodem fiordach — lecz trzeba, żebyś pan widział ją latem, gdy jezioro wolne jest od lodów.

W tej chwili weszła do salonu mała, sześcioletnia dziewczynka, jedyna córka Nansena — Liet i zaczęła mi się przyglądać z minką nieufną. Matka przycisnęła do siebie ulubienicę i zaczęła głaskać ręką piękne jasne pukle włosów.

— To moja pociecha podczas nieobecności męża — dodała pani Nansen.

Antysemickie awantury rozpoczęły się na uniwersytecie wiedeńskim. Narodowo-niemieckie burszenszafty postanowiły nie dawać na przyszłość satysfakcyi z bronią w ręku żadnemu studentowi żydowi. Wyobrazić sobie łatwo, jakie wzburzenie wywołała ta uchwała między studentami żydami, tem bardziej, iż w życiu burszów niemieckich „menzura" t. j. pojedynek byle o co, ma ogromne znaczenie. Studenci żydowscy wysłali deputacyę do rektora Dra Mengera z prośbą o interwencyę, ale rektor odpowiedział, że w sprawie tej nic uczynić nie może i przedłoży ją senatowi akademickiemu. Aby zapobiedz zaburzeniom, które wywołać chcieli bursze żydowscy prowokowaniem antysemickich kolegów, rektor zakazał sobotnich zgromadzeń studenckich na uniwersytecie i zagroził, że każdego studenta, któryby wywołał awanturę w murach uniwersyteckich, natychmiast wykluczy z grona słuchaczy. Mimo to w sobotę zgromadzili się na uniwersytecie bursze żydowscy i antysemiccy, przyszło do burzliwych scen i do bójki, która przeniosła się nawet na ulicę, gdy pedele wyparli awanturników z gmachu uniwersyteckiego.

Leon Gaetani Sermoneta, książę Teano, nowomianowany włoski minister spraw zagranicznych, potomek wielkiego rzymskiego rodu, z którego wyszło kilku papieży, jest urodzony z Polki, Kaliksty hr. Rzewuskiej, córki Wacława, znanego pod nazwą Emira i Rozalii z Lubomirskich. Książę Sermoneta odziedziczył po swym wuju ś. p. Leonie hr. Rzewuskim dobra Łuczanowice pod Krakowem i przed kilku laty sprzedał je hrabiemu Mycielskiemu. W Krakowie był dzisiejszy minister włoski kilkakrotnie, odwiedzając swych krewnych i odziedziczone dobra. Ojciec jego stary książę Gaetani znany był w Rzymie, jako uczony i artysta, a nadto ze swej dumy rodowej, która przez dziwną sprzeczność nie wstrzymywała go od podjęcia sztandaru czerwonego wśród zaburzeń rzymskich. Matka posiadała właściwy hr. Rzewuskim talent autorski, jako powieściopisarka.

Z Akademii Umiejętności w Krakowie. Dnia 20 lutego b. r. odbyło się posiedzenie Komisyi historyi sztuki pod przewodnictwem profesora Dr. Maryana Sokołowskiego.

Sekretarz odczytał sprawozdanie z ostatniego posiedzenia lwowskiego grona Komisyi dnia 7 lutego b r. D. Aleksander Czołowski przedłożył projekt odnowienia baszty, t. z. prochowej na wałach gubernatorskich naprzeciw kościoła Karmelitów we Lwowie i określił dzieje tego zabytku architektury obronnej z lat 1554 — 1556, który służył za spichlerz oraz za prochownię a grał znaczną rolę w dziejach miasta w wieku XVII i początku XVIII. Pan Władysław Łoziński zdał następnie sprawę z nowych publikacyi inwentaryzacyjnych, wydanych staraniem pruskich sejmów prowincyonalnych a obejmujących dawne ziemie polskie.

Dyrektor Łuszczkiewicz podał komunikat o cechach malarzy i snycerzy miasta Sącza, które w XV i XVI wieku było znanem ogniskiem sztuki. Badacz dziejów Sącza ks. Sygański T. J. odnalazł dowód, że malarze i snycerze sądeccy w końcu XVI wieku należeli do cechu wspólnego z innymi rękodzielnikami Akt z roku 1603 wymienia malarzy jako należących, do kowali akt z roku 1604 snycerzy jako należących do cechu bednarzy. Nadto odnalazł ks. Sygański w jednym z rękopisów archiwum miejskiego nowosądeckiego nazwisko malarza, Floryana Benedyktowicza, który w r. 1640 maluje obrazy olejne i umiera w r. 1652. P. Chmiel zwrócił uwagę na akta miejskie nowosądeckie przechowane w Krakowie od niedawnego czasu i na natrafiające się w nich często imiona malarzy; poczynają się one od roku 1488, wcześniejsze bowiem spłonęły w pożarze miasta w roku 1486; późniejsze akta grodzkie sądeckie poczynają się z r. 1515 i znajdują się dziś we Lwowie u Bernardynów. Prof. Sokołowski przypominał również wysoką kulturę Sącza w wieku XV i imię artysty Jana de Sandec, który wedle notatki Długosza w aktach kapitulnych, naprawił chorągiew z Matką Boską, ofiarowaną do katedry na Wawelu przez króla francuskiego Karola VI i jego żonę.

Następnie dyr. Łuszczkiewicz przedstawił szereg fotografij kościoła w Wąchocku, które dowodzą, że podżebra filarów nie są płaskie, ale, że mają one wciśnięte kolumienki z kapitelami, ozdoby ich jednakże są dziś poutrącane.

Profesor Sokołowski zwrócił uwagę na jeden z najpiękniejszych grobowców w Polsce, którego czerwona marmurowa płyta znajduje się wmurowana w tyle mensy ołtarza przed grobem św. Wojciecha w katedrze gnieźnieńskiej. Przedstawił zeń pierwsze fotograficzne zdjęcie i stwierdził, że wspaniała ta postać biskupa z herbem Różą, przypomina najwięcej rzeźby jednego z największych niemieckich artystów, jakim był Tilman Riemenschneider.

Z kolei przewodniczący przedstawił komunikat p. Juliana Pagaczewskiego, składający się z notat rękopiśmiennych po ś. p. Ludwiku Jacewiczu. Są między niemi ważne przyczynki do dziejów budowy kościoła Kamedułów na Bielanach w wieku XVII i wiadomości o budowniczym Janie Succatorim, o kamieniarzach włoskich jak: Jan Treuano i Andrzej Castelli, o malarzu Janie Proszowskim itd.; ważnym jest również spis skarbca kościelnego na Bielanach, opracowany na mocy dawnych inwentarzy, z których najstarszy z r. 1674.

W końcu dr. Jerzy hr. Mycielski zwrócił uwagę, że ów „malarz ruski", którego portret Jana III-go Cosimo Brunetti w r. 1675 posłał wielkiemu księciu Toskańskiemu, a o którym dr. Herman Ehrenberg podał komunikat z archiwum we Florencyi, jest niezawodnie malarzem Bazylim ze Lwowa, którego Rastawiecki wymienia, a na którego ślubie w ruskiej cerkwi we Lwowie był obecnym sam król w r. 1687.

Zmarli. Ks. Józef Kozik, honorowy kanonik, proboszcz w Cieszanowie, kapłan powszechnie szanowany przez lud, dla którego dobra gorliwie pracował, zmarł w 58 r. życia.

Stan powietrza. T. o 9 rano — 2° R., w poł. + 5° R. Bar. 765. Idzie w górę. Prześliczna pogoda.

Ludzie i konie.

Ludzie, jak konie, z wielkiej przyjaźni,
Którą sto razy przyrzekli sobie,
Pogryźć się muszą, bo ich to drażni,
Gdy ciągle razem stoją przy żłobie.

Z teatru. Dziś w poniedziałek „Pan Bigelhofer", krotochwila ze śpiewami i tańcami w 4 aktach Prudensa i Anthony'ego. Ceny miejsc popołudniowe. Jutro we wtorek „Faust", w roli Małgorzaty wystąpi pani Dąbrowska. Ceny dramatu.

Literatura i Sztuka.

* **Koncerta**. W sobotę odbył się w kasynie miejskiem koncert Towarz. śpiewackiego „Echo". W programie znaleźliśmy utwory chóralne samych polskich kompozytorów. Ta okoliczność przychylnie już z góry usposobiła dla Towarzystwa i jego produkcyi. Zresztą i bez tego śpiew wczorajszy zasługiwał na ocenę przychylną tyle w nim było staranności i dźwięku pełnego. Zwłaszcza też „Przybycie wiosny", piękna, efektownie brzmiąca i wielkiej wartości literackiej kompozycya Niewiadomskiego dowodziła studyów sumiennych swem wykonaniem bardzo czystem, poprawnem i okrągłego brzmienia.

W koncercie brał udział basista opery p. Tarnawski, podając publiczności dwie pieśni w sposób najprzychylniej świadczący o szkole Pauliny Stróżeckiej, której jest uczniem. Panna Spitzerówna, utalentowana uczenica p. Pollaka, tudzież pp. Poliński, Podlacha i Chulawski wykonali bardzo efektownie lichą zresztą i bez głębszej wartości muzycznej kompozycyę Raviny „Adoremus" na fortepian, skrzypce, harmonium i wiolonczelę. Numer ten programu przypadł publiczności dzięki wykonaniu do gustu. Podobała się również i musiała być powtórzoną „Zakochana" Al. Orłowskiego, utwór na chór męski.

Wczoraj odbył się koncert, urządzony na dochód (?) Towarzystwa wzajemnej pomocy medyków, pod protektoratem dyrektora Mikulego. Najbardziej zajmującym punktem obfitego i zresztą w ogóle zajmującego programu była „Fantazya polska" Paderewskiego na fortepian i orkiestrę. Wykonawczynią była p. Setmajerówna, której akompaniowała orkiestra 30 p. p. pod dyrekcyą p. Rolla. O rzeczy samej po jednorazowem wysłuchaniu nie chcemy wydać sądu... chyba o tyle, żeśmy ulegli znacznemu wrażeniu ku końcowi, gdzie znakomicie utrzymujący górę nad pełną orkiestrą fortepian odgrywa rolę w w całej kompozycyi najefektowniejszą.

Wykonawczyni zaś znaną jest od dawna nietylko jako znakomita siła pedagogiczna, ale i jako artystka sumienna przejęta w najwyższym stopniu zapałem i miłością dla sztuki, co wszystko poparte jest wybornym talentem i inteligencyą muzyczną niepoślednią. Niełatwe miała ona zadanie wykonując tę fantazyą. Dzieło to, obliczone na silną męską rękę, posiada efekta natury przeważnie dynamicznej. Nietyle idzie tam o szlachetne prowadzenie melodyi, o wyrzeźbienie misterne filigranowych arabesek, o gładko płynące pasaże, ile o siłę, ciągle o siłę. Nie zaszkodziłoby dziełu temu brutalne traktowanie technicznych szczegółów, gdyż wszystko to ma się spłynąć z orkiestrą zawsze silnie, za silnie trzymaną, w ogólny ton uderzający właśnie tą swą surowością i grubymi konturami dekoracyjnymi.

Klasyczny spokój w grze p. Setmajerówny, niezmierna łatwość techniczna, z jaką wśród tych niedostępnych szkopułów kompozycyi, wyraźmy się śmielej, fruwała, nie odpowiedziały wprawdzie charakterowi kompozycyi, wskazały jednakże, że to wszystko, co się na efekt w nowszych czasach tworzy, bierze w wykonaniu rozbrat z poczciwą tradycyą, że zatem nie tyle tam treści i szczerego piękna, ile wyrażeń i symboliki niedostępnej tylko pewnym, należącym do tej loży wolnomuzycznej.

Wdzięczną i miłą była w dalszym ciągu odegrana przez p. Setmajerówną serenada Stojowskiego, której wykonanie lekkie i świetne — nie w sensie sztucznych kamieni, lecz pereł najczystszej wody, nadało niezmiernie wiele uroku. O wykonaniu walca Chopinowskiego nie potrzebujemy dodawać, że było zupełnie w duchu genialnego autora.

Wielkiem powodzeniem cieszyła się produkcya p. Gąsiorowskiej, młodocianej, lecz na punkcie władania środkami technicznemi dojrzałej uczenicy profesora Wolfsthala. Darzona hucznymi oklaskami za Sarasatego „Fausta", dodała nad program tegoż autora taniec hiszpański.

Resztę punktów programu wypełnił śpiew znakomitej prymadonny opery p Aleksandry Dąbrowskiej i liczne utwory chóralne wykonane przez męski chór „Lutni".

Z pośród nich najlepiej brzmiała „Rzeczka" Tilhego, utwór ładnie napisany, a wykonany znakomicie. Nieoceniony i niespożytej siły głos p. Mazurkiewicza, długoletniego członka „Lutni", miał w utworach tych a zwłaszcza w Beckera chórze jak najszersze pole do popisu.

Akompaniament spoczywał w wytrawnych rękach p. Neuhausera. *M. S.*

Część ekonomiczna.

Wiedeń 14 marca.

Zmora ciążąca nad targiem naszym, paraliżująca od listopadowego krachu wszelki ruch, wszelki objaw życia, nie zmienia się na lepsze, lecz przeciwnie potężnieje coraz. Wystarczy przejść się tylko po tych halach, gdzie niedawno wrzało i kipiało życie pełnem tętnem, ażeby się przekonać o prawdziwości twierdzenia powyższego. Pojawiają się tu i owdzie pozorne oznaki powrotu giełdy do życia, lecz na to tylko, aby za chwilę ustąpić miejsca apatyi.

Wiadomości, jakie nas doszły o podróży ministra Gołuchowskiego do Berlina, zrobiły swoje. Korzystne notowania na giełdach zagranicznych nie pozostały również bez skutku, i już, już się dawały widzieć objawy pomyślniejsze, gdy wtem nadeszły wiadomości z Berlina, które doniosły, że prezydent banku niemieckiego Koch oświadczył, że uważa kursa papierów za wysokie. Wiadomość ta wystarczyła, ażeby wywołać znaczną zniżkę, której się renty nawet oprzeć nie mogły. Tylko waluty utrzymały się bez zmiany. Stanu tego nie potrafiły zmienić nawet wiadomości o zwyżce na londyńskiej i paryskiej giełdzie, gdzie szczególnie poszły w górę papiery górnicze.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 378·75, węgierskie 417·—, Anglobanki 172·25, Uniony 308·50, Bankvereiny 145·50, Länderbanki 249·50, Ludwiki 221·80, Czerniowieckie 296·—, Elbethale 286·—, Renta papierowa 101·20, srebrna 101·15, austryacka złota 122·65, 4% austr. renta wal. kor. 101·60, węgierska złota 122·10, 4% węgierska renta wal. kor. 99·15, dukat 5·67—, 20-frankówka 9.59½, marki 11·84, ruble 1 28½.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 16 marca. Około 2000 robotników obojga płci, oraz 50 studentów wyruszyło w niedzielę po południu na główny cmentarz, gdzie na obelisku stojącym na grobie poległych w rewolucyi marcowej w roku 1848, złożyli 81 wieńców o czerwonych wstęgach. Wygłoszono kilka mów, odnoszących się do uroczystości, w języku niemieckim, czeskim i włoskim; mowy te przyjęto wśród entuzyazmu, ostatnia zaś zakończona została okrzykiem na cześć robotników karwińsko-ostrawskich. Po odśpiewaniu kilku pieśni żałobnych nastąpił powrót do miasta, przyczem żadne zajścia się nie wydarzyły.

Mentona 16 marca. Cesarz austryacki z cesarzową podziękowali pani Ulrich, właścicielce hotelu za okazaną troskliwość i o godz. ¾2 opuścili Mentonę.

Na dworcu prosił Cesarz prefekta departamentu „Alpes martimes", ażeby w jego imieniu wyraził rządowi francuskiemu za okazywane względy podziękowanie i powiedział: „Jestem zachwycony pobytem na Cap saint Martin na przyszły rok powrócę znowu".

Kiedy radzca Claudy zameldował, że wszystko do odjazdu gotowe, uściskał Cesarz Cesarzową i siostrę Cesarzowej hrabinę Tram, poczem wsiadł do salonu wagonu. Cesarzową opuszczającą dworzec żegnała licznie zgromadzona publiczność pełnemi szacunku okrzykami i ukłonami.

O godzinie 6 tej udała się Cesarzowa na statek Miramare i odjechała do Cannes, skąd dziś wieczór nastąpi odjazd na wyspę Korfu.

Para cesarska obdarzyła otoczenie wspaniałymi upominkami. Służba otrzymała 6000 franków.

Wiedeń 16 marca. Na wczorajszem posiedzeniu Koła polskiego prezes Zaleski odczytał pismo krakowskiej rady miejskiej w sprawie zażalenia wniesionego przez ks. Chotkowskiego, jakoby żydowski nauczyciel udzielał przez pewien czas dziatwie katolickiej nauki religii. Poseł ks. Chotkowski obstaje przy swoim zarzucie i stwierdza, że nauczycielem tym był niejaki dr. Landau.

W sprawie wykluczenia dr. Lewakowskiego z Koła przemawiał p. Sokołowski, nazywając krok Koła zbyt gorączkowym. Wykluczenie Lewakowskiego — powiedział p. Sokołowski — jest faktem pomnikowym, historycznym, który powinien być uzasadniony dokumentami, a dopiero po zgromadzeniu dokumentów fakt ten będzie można osądzić należycie. Takim dokumentem byłby protokół z posiedzenia Koła, na którem zapadła uchwała o wykluczeniu Lewakowskiego. Dlatego p. Sokołowski życzy sobie, ażeby protokół ów ogłoszono i sprawę dokładnie objaśniono.

Prezes p. Zalecki zaznacza w odpowiedzi, że dr. Lewakowski naruszył solidarność Koła polskiego, przepisaną statutem. Podczas głosowania nad wnioskiem Gessmanna, które trwało 10 minut, Lewakowski miał dosyć czasu do poinformowania się o uchwale komisyi parlamentarnej Koła. Na następne posiedzenie Koła, zwołane po owem posiedzeniu Izby poselskiej, przybyło z 36 bawiących we Wiedniu członków Koła, 28 posłów. Uchwała jest zatem ważną, gdyż statuta Koła żądają tylko obecności połowy bawiących w Wiedniu członków Koła polskiego dla ważności uchwały. Dyskusyę w tej sprawie zakończono uchwałą, że Koło wyda komunikat w myśl oświadczenia p. Zaleskiego; wniosek p. Sokołowskiego odrzucono.

Poseł Henzl wniósł, aby obrady te uznać za tajne, wniosku jednak tego nie przyjęto.

Następnie otworzono dyskusyę nad etatem ministerstwa sprawiedliwości, w której udział wzięli pp. Eugeniusz Abrahamowicz, Piętak, Waigel, Sokołowski, Roszkowski, Piniński, Chrzanowski i Potoczek. Postanowiono żądać zwiększenia liczby sądów, zaprowadzenia sądów pokoju, zniżenia taksy adwokackiej i upaństwowienia notaryatu. Na mówców w pełnej Izbie wybrało Koło posłów: Weigla, Byka, Roszkowskiego i Potoczka.

Rzym 16 marca. Ajencya *Stefaniego* zaprzecza stanowczo wiadomości, jakoby wojska włoskie opuściły Asmarę i cofnęły się do Massawy.

Rzym 16 marca. Dziennik medyolański *Corriere de la Sera* donosi, że w Massawie utrzymują, iż w skutek toczących się z Menelikiem rokowań pokojowych należy wojnę uważać za ukończoną. Dziennik *Messagero* twierdzi, że jenerał Baldissera otrzymał był od Crispiego upoważnienie do ustąpienia z Kassali, Agordatu i Adigratu.

Barcelona 16 marca. Przed amerykańskim konsulatem zebrały się wczoraj tłumy ludu i usiłowały zamanifestować swe nieprzyjazne uczucia. Żandarmerya zdołała tłumy rozpędzić, przyczem kilka osób zostało ranionych.

Kair 16 marca. Część wojsk egipskich wyruszyła już w piątek do Wadyhalva; reszta armii egipskiej wyruszy tam niebawem.

Wiedeń 16 marca (*Rada państwa*). Posłowie Sues, Milewski i towarzysze postawili następujący wniosek: Ponieważ teraźniejsze ustawiczne chwianie się wartości złota i srebra bardzo ciężko i niekorzystnie wpływają na ekonomiczne stosunki, wzywa się rząd, ażeby gorąco poparł wszelkie usiłowania innych rządów zmierzające do międzynarodowego ustalenia wartości tych obu metali.

HOTEL IMPERIAL.
KRZYSZTOF JANOWICZ
Lwów — ul. Trzeciego Maja l. 3.

Przyjechali dnia 15 marca. M. hr. Pinińska z Koszyłowiec. K. br. Bitzenhofer, J. Hofmann i A. Scherer z Wiednia Dr. W. Rosenheck ze Śniatyna. Dr. R. Katz z Czerniowiec. G. Romer z N. Sącza. R. Ujejski z Pawłowa. W. Łuszpiński z Kossowa. J. Lustgarten z Bukaresztu.

HOTEL ŻORŻA.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 15 marca. A. Gorayski z Moderówki. J. br. Romaszkan z Horodenki. M. dr. Fedorowicz z Kołomyi. H. Marcinkiewicz i M. Burzyński z Buczacza J. Szumpeter z Baska. A. Hornung z Strassburga.

Lwów dnia 15 marca (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 220 — do 223.—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 294.— do 297.—. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 380.— do 395·—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.

Listy zastawne za 100 zł.; Banku hipot. galic. 2 proc. los. w 40 lat. 5 proc. a 10 proc. prem. 110.20 do 110.90, 4 i pół proc. łos. w 50 lat. 99.80 do 100.50. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100.50 do 101.20. Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97.50 do 98.20. Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I. emisya) 98.00 do 98.70 4 proc. los. w 42 i pół latach 97.70 do 98.40, 4 proc. los. w 56 lat. 97.60 do 98.30.

Obligi. za 100 zł.: Gal. fund propinacyjnego 4 prc. 97.60 do 98.30. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.— do —.— Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.— do 102.70. Pożyczki kraj. 6 proc. 105.— do —.—, 4 i pół proc. 99.80 do 100·50, 4 proc. z r. 1891 97·20 do 97.90, 4 proc. po —.— koron z roku 1893 97.— do 97.70.

Monety. Dukat cesarski 5.61 do 5.71. Napoleondor 9.55 do 9·65. Półimperyał 9.70 do —.—. Rubel rosyjski papierowy 1.27 do 1.28. 100 marek niemieckich 58.80 do 59.40.

15)

STARGANE ŻYCIE

POWIEŚĆ

przez

W. HEIMBURGA.

(Ciąg dalszy).

— Panienka jedzie do Dąbka? — zawołała z radością stara sługa — ach! jak to dobrze. Kupi mi panienka w aptece kropli waleryanowych i cukru w sklepie korzennym.

— Bądź pewna, że nie zapomnę — odpowiedziała Dzidzia.

W kilka chwil później, Magda, której przypomniał się jeszcze jeden sprawunek, poszła do pokoju panienki i zdumiona stanęła na progu. Dzidzia przed lustrem przymierzała stary już, czarny kapelusik, przyglądając mu się z prawdziwem strapieniem.

— Patrz, Magdo, jaki ten kapelusz zniszczony. Wstyd mi doprawdy jechać w nim do Dąbka.

— Niech panienka założy woalkę, to będzie lepiej wyglądało — radziła Magda.

— Masz słuszność, muszę tak zrobić.

— Może panienka wstąpi z łaski swojej do płócienniska, żeby przysłał ręczniki.

— Dobrze, dobrze — z roztargnieniem odrzekła Dzidzia, szukając woalki.

Jeszcze nigdy w życiu nie była tak zajęta swojem ubraniem, aż trochę wstydzi się tego.

O czwartej zeszła na dół w czarnej, skromnej sukni, która doskonale przypada do jej twarzyczki. Jedzie z Dzidzią mały braciszek, jako opiekun. Póty prosił matki, żeby mu pozwoliła na tę wycieczkę, aż wreszcie się zgodziła, rada, że się pozbędzie hałaśliwego malca.

Dzień był śliczny, choć nieco chłodny. Stryj Joachim kazał woźnicy ubrać się w najlepszą liberyę i wziąć najpiękniejsze szory; konie są rasowe, a powóz choć staroświecki, z dobrej pochodzi fabryki.

Serce Dzidzi bije, jak młotem, najchętniej kazałaby zawrócić, ale wjeżdżają już w aleję lipową, w której głębi widać stary zamek. Zaledwie powóz stanął pod kolumnadą, wybiega młody pan domu i wita gości z radością. W sieni czeka jego matka i tkliwie przyciska Dzidzię do serca.

— Właśnie mówiliśmy o pani. Jak to dobrze, że przywiozła braciszka. Wszak konie można wyprządz?

Dzidzia się wymawia, ulega jednak prośbom Janka, do których Konrad dołącza swoje. Niebawem wszyscy, siedząc przy stole, piją kawę i gawędzą swobodnie. Konrad z dobrocią odpowiadał na niezliczone pytania chłopca, ale nie odwracał oczu od Zofii. Tak sobie wyobrażał przyszłą swoją żonę: piękną, skromną, poważną, bogatą w rozum i cnoty. Trzydzieści dwa lata przeżył na świecie, zanim nakoniec spotkał swój ideał. Czy ona odpłaci wzajemnością gorące jego uczucie?

Byliby dobraną parą, gdyż on także jest prawy i szlachetny, ma najpiękniejsze zasady i przekonania. O kobietach w ogóle ma bardzo wysokie wyobrażenie i utrzymuje, że najlepszą jest ta, o której najmniej mówią.

Nigdy jeszcze ten pokój nie wydał mu się tak miłym i pięknym, jak dziś, kiedy rozjaśnia go obecność ukochanego dziewczęcia. A kiedy Janek z tkliwą pieszczotą przytulił się do siostry, Konrad ręką zasłonił oczy, jak gdyby olśniony obrazem przyszłego szczęścia.

— Chodźmy do ogrodu, wujaszku! prosi malec.

Idą tylko we troje, gdyż dla pani Rothe jest za chłodno.

Dzidzia była tu raz w dzieciństwie i zapamiętała dobrze wspaniałe dęby, sławne w całej okolicy. Janek zabawia się z psami, ona zaś postępuje przy boku Konrada, uśmiechnięta i szczęśliwa.

— Ach, jak tu pięknie! — woła z zachwytem, stanąwszy na szczycie wzgórka, skąd rozległy odsłania się krajobraz.

— Tak, ale bardzo smutnie — odpowiada Konrad — nigdy silniej nie odczułem mego osamotnienia, jak wczoraj, po powrocie z Beetzen. I dziś, skoro pani odjedzie, będę cię widział wszędzie.. Ale po co ja to mówię, kiedy pani mnie nie słucha...

Dzidzia, wzruszona, skłoniła głowę.

— Ale to być nie może, pani mię zrozumiała... Nie będę nalegał, żebyś mi od razu dała odpowiedź, błagam cię tylko: pozwól mi starać się o twoją rękę, zapewnij, że nie jestem ci obojętny. Kocham cię od dawna i ty musiałaś to odgadnąć. Chciałem napisać do barona von Kronen, a tymczasem ty zjawiłaś się sama. Panno Zofio, czy mogę to uważać za dobrą wróżbę?

Dzidzia drży, jak listek porwany burzą. Przez chwilę stoi nieruchoma, a potem wyciąga do niego rękę.

— Tak — odpowiada z prostotą.

— Panno Zofio! czy to być może? — woła Konrad, oszołomiony radością.

Na twarzy dziewczęcia naraz odbija się przerażenie. Chce mu odpowiedzieć: „Czekaj, musisz przedtem wysłuchać mojej spowiedzi,“ ale on jej nie da przyjść do słowa.

— Niech pan prosi stryja! — wyjąkała wreszcie z trudnością.

— Czy sądzisz, że stryj będzie przeciwny naszemu małżeństwu?

— Nie, ale...

— A zatem nie ma przeszkody między nami, nic nie zdoła nas rozłączyć. Kochamy się oboje, cóż więcej potrzeba?

Ręce jej opadły, oczy patrzą w dół, smutne, zamglone. Jutro, skoro Konrad z ust stryja dowie się o jej szaleństwie, czy powtórzy te same słowa? Ona nie może mu tego wyznać, choćby miała umrzeć.

— Dlaczego pani taka zamyślona? — tkliwie zapytuje Konrad. — O, powiedz, mam prawo pytać, bo przecież kocham panią nad życie!

Dziewczę spłonione smutnie spojrzało na pięknego młodzieńca i szybko pobiegło do małego Janka.

Kiedy w kilka chwil później Konrad złączył się z nimi, Zosia miała zapłakane oczy i uśmiech szczęścia na ustach.

Dzidzia załatwia sprawunki w miasteczku, lecz myśli jej są gdzieindziej. Ściemniało się już, gdy weszła do apteki po krople waleryanowe dla Magdy; może dlatego nie spostrzegła pulchnej, różowej blondynki, która przeszła tuż obok niej, trzymając małą dziewczynkę za rękę. Tamta musiała jednak ją poznać, gdyż stanęła, jak wryta, a potem przycisnęła twarz do szyby, ażeby widzieć każdy ruch panny von Kronen.

Niebawem przed apteką jak zawierucha wpadł młody jeździec, i rzuciwszy cugle chłopcu, wszedł, żądając wody kolońskiej. Nieznajoma blondynka widziała, jak Dzidzia naprzód drgnęła przestraszona, a potem uśmiechnęła się bardzo mile do młodego pana. Pozwoliła mu się wyprowadzić, wsadzić do powozu, a nawet towarzyszyć konno.

Ciekawa blondynka, w kapeluszu à la Rembrand, wchodzi z kolei do apteki, zażądawszy gliceryny, pyta się napozór obojętnie:

— Kto byli ci państwo?

— Baronówna von Kronen i młody pan z Dąbka — odpowiada rozmowny prowizor — ludzie mówią, że mają się pobrać.

Nieznajoma pani o nic więcej nie pyta i wraca z dzieckiem do domu. Sądząc po jej ubraniu, niktby nie przypuścił, że mieszka w małej izdebce na poddaszu. Przy piecu siedzi matka Busch, od kilku lat owdowiała, i robi pończochę.

— Matko, rozbierzcie małą, ja tymczasem do męża napiszę — woła Greta, gdyż ona to była, i siada przy stoliku.

Pisze wolno i niewyraźnie, mimo to w kilka chwil napissła list zagadkowy:

„Kochany Alfredzie! Trochę czasu i cierpliwości, a pieniądze będą, nie troszcz się o nie. Czytaj codzień gazety, czy nie znajdziesz ogłoszenia o zaręczynach w Beetzen; gdy znajdziesz, daj mi znać, a wtedy ja tam pojadę powinszować Myślę, że lepiej wziąć ośmset talarów, niż pięćset Matka jest zdrowa, a za naszą małą ludzie oglądają się na ulicy i mówią, że piękniejszego dziecka na świecie nie widzieli. Nie wiem, kiedy się zobaczymy. Twoja Greta.“

Sama zaniosła list na pocztę i wróciwszy, chwyciła w objęcia córeczkę.

— Ach, ty mój skarbie najmilszy, ja cię zjem chyba!.. Czekaj, jak się wszysko uda, to ci w Berlinie kupię najpiękniejszą lalkę.

Następnego dnia Dzidzia siedzi w swoim pokoju, blada jak płótno, i co chwila przyciska do rozpalonego czoła zlodowaciałe ręce. Los jej rozstrzyga się w tej chwili. Konrad Rothe jest u pana Joachima.

Przyjechał konno o wczesnej godzinie, Dzidzia zdążyła jednak uprzedzić stryja o tem co zaszło i uprosić go, aby Konradowi powiedział wszystko, wszystko... Chciała mu wspomnieć o Grecie, ale dała pokój; Bóg wie, gdzie ona obraca się w tej chwili, a przytem co za cel miałaby czernić pannę von Kronen?

Godzina mija, a Dzidzia dotąd nie wie, jaki obrót wzięła rozmowa między stryjem a Konradem. Może on już odjechał? Na tę myśl, w oczach jej pociemniało.

Tymczasem obaj panowie szybko się porozumieli. Baron oświadczył, że synowica dostanie tylko 20.000 talarów i przyzwoitą wyprawę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. — Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. — Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W. Hodak.